

R Wieści Raniżowskie



Nr 163-164 • wrzesień-październik 2010 • Cena 2,50 zł. • ISSN 1509-6025

W numerze między innymi:

Organizatorzy Gminnych Dożynek 2010 dołożyli wszelkich starań, by impreza ta stała się świętem rolników, by ta grupa zawodowa w tym dniu była na pierwszym miejscu. Oczywiście nie sposób było docenić wszystkich rolników z gminy, gdyż takich oficjalnie jest około 1.700, którzy posiadają gospodarstwa rolne o powierzchni powyżej 1 ha użytków rolnych. Stąd obecność ich przedstawicieli – starostów dożynekowych z poprzednich 20 lat, czyli od powstania nowych samorządów gminnych. Władze gminy doceniły ich poprzez uhonorowanie specjalnymi dyplomami, upominkami i zaproszeniem na bankiet.

cd. na str. 2



Trzej panowie rozpalili ognisko, które uprzednio było profesjonalnie ułożone przez straż pożarną i wolontariuszy. „Sobótkowy” ogień palił się przez całą noc, a nad bezpieczeństwem podziwiających go ludzi czuwali strażacy dowodzeni przez Komendanta Ryszarda Kawalca. Ostatnim występem na scenie tego wieczoru był koncert zespołu „Za-No-Za”, który tworzą wokalistki Elena i Monika. Dziewczyny wraz z towarzyszącym im DJ’em Meysonem zaprezentowały znane rosyjskie piosenki w nowych dance’owych aranżacjach. Publiczność bawiła m.in. w rytm „Kalinka” i „Biełyje Rozy”.

cd. na str. 7



Trzeciego dnia ktoś przez szparę w drzwiach wagonu wypatrzył napis – Moskwa. Jedzie transport na północ, nie na wschód za Ural, nie na Sybir. Ale gdzie? Przyszli „łagiernicy” są jeszcze w Europie. Po obiedzie pociąg ruszył. Za dobę sprawa się wyjaśniła. Jest miasto Jarosław. Pociąg nie jedzie na Sybir na wschód, ale na północ na „białe niedźwiedzie” w Tajgę. Mijają Wołogdę, Kotłas – transport ciągnie na daleką północ pod koło podbiegunowe. Po prawie dwóch tygodniach jazdy wyładowano ich więźniów na małej stacyjce Ajkina niedaleko Uchty.

cd. na str. 9



Gminne Dożynki 2010

W ostatnią niedzielę wakacji – 29 sierpnia 2010 r. – Raniżów stał się stolicą rolniczego święta – Gminnych Dożynek. Ta tradycyjna impreza sięgająca korzeniami czasów XIX wieku, adaptowana do współczesnych warunków, przyciąga corocznie rzesze rolników i osób pracujących na rzecz rolnictwa.



Wójt Jan Niemczyk przyjmuje chleb od starostów: Danuty Pikor i Stanisława Rodzenia.

Jest to forma podziękowania Panu Bogu za plony oraz okazja do wspólnych śpiewów i zabawy. Wyróżniający się rolnicy – starostowie dożynek – pani Danuta Pikor z Zielonki i pan Stanisław Rodzeń z Posuch złożyli na ręce wójta Jana Niemczyka chleb, a wieńczarki ośpiewały piękne wieńce – symbole zebranych plonów ziemi.



Wieniec z Raniżowa – kogucik – dla posła Zbigniewa Chmielowca.



„Raniżowianie” wraz ze starostą w drodze po starościnę.

Zanim rozpoczęto dożynkowe świętowanie, do przodowników rolniczej pracy 2010 – najpierw starosty Stanisława Rodzenia udała się Kapela „Raniżowianie”, która przed domem zagrała marsza, witając w ten sposób „pierwszego rolnika”, po czym tradycyjnie, konno, kapela wraz ze starostą wiezionym na bryczce, udali się do domu starościny Danuty Pikor. Po krótkim odpoczynku i poczęstunku starostowie wraz z kapelą udali się na dziękczynną Mszę Świętą, która rozpoczęła się o godz. 14.00.



Wystawa płodów rolnych rolników z terenu gminy stanowi zawsze atrakcję dożynek.



Piękne i okazałe wieńce Gminnych Dożynek 2010.

Przed kościołem czekali już rolnicy, zespoły wieńcowe i zaproszeni goście. Wprawdzie aura w bieżącym roku nie sprzyjała osiągnięciu dobrych plonów, jednak wiele nieszczęść, jakie dotknęły inne rejony Polski, ominęły naszą gminę, i to był m.in. jeden z argumentów na organizację tegorocznej imprezy. Proboszcz raniżowski ks. Henryk Smaróń poświęcił chleb przyniesiony przez starostów oraz piękne wieńce dożynkowe. W ofierze Mszy Św. wzięli także udział: proboszcz mazurski ks. Wiesław Dopart oraz przybyły z dalekiego Paragwaju, rodak z Zielonki, ks. Tadeusz Brzuszek.



Korowód dożynkowy w drodze z kościoła na stadion.

Po Mszy Św. wszyscy w barwnym korowodzie na czele z kapelą „Raniżowanie” udali się na stadion sportowy, gdzie odbyła się zasadnicza część dożynkowej uroczystości. Starostowie wręczając chleb wójtowi, prosili go, by podzielił ten dar równo i sprawiedliwie, aby nikomu go nie zabrakło. Wójt zapewnił, że doloży wszelkich starań, aby tak się stało.

Symbole zebranych plonów, czyli wyjątkowo piękne wieńce dożynkowe zostały przez zespoły wieńcowe ośpiewane. W przyspiewkach tych zawarto wiele życzeń pod adresem władz gminnych, pochwalono za dotychczasową działalność, wytknięto niedociągnięcia. Wieńce zaś otrzymały osoby, które swą pracą zasłużyły sobie na to szczególne wyróżnienie od danego sołectwa. Tradycją stało się już, że starostowie dożynek (wyróżniający się rolnicy) otrzymują je ze swoich miejscowości. W ten sposób symbolicznie przekazywane są jakby dla wszystkich rolników z gminy. Tak więc z Zielonki wieńiec otrzymała starościna Danuta Pikor, z Posuch wieńiec trafił dla starosty Stanisława Rodzenia. Sołectwo Raniżów przygotowało dwa wieńce, z których jeden otrzymał poseł na Sejm RP Zbigniew Chmielowiec, drugi trafił na ręce pani



Wójt Jan Niemczyk częstuje gości owocami borówki amerykańskiej przekazanymi przez p. Stanisława Wilka.



Powitanie korowodu dożynkowego przez ks. Smaronia.



Starostowie dożynek częstują chlebem zaproszonych gości.



Bigos z kuchni polowej dla wszystkich uczestników dożynek.

Haliny Indyk. Sołectwo Wola Raniżowska swój okazały wieńiec z kształcie orła ofiarowały przewodniczącemu Rady Gminy Danielowi Fili. Sołectwo Poręby Wolskie przekazało symboliczne plony dla radnego Rady Powiatu Mieczysława Burka. Sołectwo Mazury tradycyjnie już reprezentował Zespół Obrzędowy „Mazurzanie”, który uwił dwa okazałe wieńce. Jeden przekazał dla wójta Jana Niemczyka, drugi dla starosty kolbuszowskiego Józefa Kardysia. Było to symboliczne podziękowanie za ładny odcinek nowej drogi przez tę miejscowość, która powstała dzięki wspólnemu sfinansowaniu jej przez gminę i powiat.



Starostowie z 20-lecia: Zofia Fila, Józef Puzio, Teodor Rodzeń, Antonina Kochanowicz, Krystyna Słoma, Wojciech Ozga, Danuta Młynarczyk, Józef Gawel.



Starostowie cd.: Zofia Dec, Wojciech Mikołajczyk, Zofia Burek, Józef Ślusarczyk, Antoni Soja, Anna Fila, Zofia Olszowy, Kazimiera Skomro, Bronisław Kwaśnik, Teresa Fudali, Stanisław Wilk.



Starostowie cd.: Danuta Szot, Józef Stępień, Teresa Ozga, Mieczysław Tyłutki, Maria Iskra, Jan Sondej.



Starostowie cd.: Krystyna Wyka, Adam Burek, Danuta Pikor, Stanisław Rodzeń oraz wójt Jan Niemczyk i przewodniczący Rady Daniel Fila.

cd. ze str. 3

Organizatorzy Gminnych Dożynek 2010 dołożyli wszelkich starań, by impreza ta stała się świętem rolników, by ta grupa zawodowa w tym dniu była na pierwszym miejscu. Oczywiście nie sposób było docenić wszystkich rolników z gminy, gdyż takich oficjalnie jest około 1.700, którzy posiadają gospodarstwa rolne o powierzchni powyżej 1 ha użytków rolnych. Stąd obecność ich przedstawicieli – starostów dożynekowych z poprzednich 20 lat, czyli od powstania nowych samorządów gminnych. Władze gminy doceniły ich poprzez uhonorowanie specjalnymi dyplomami, upominkami i zaproszeniem na bankiet. Oni to reprezentowali w poprzednich latach rolniczą społeczność, byli swoistymi przodownikami, a i obecnie w większości prowadzą jeszcze dobrze prosperujące gospodarstwa rodzinne.

Po zakończeniu korowodu wieńcowego nastąpiła część artystyczna. Wystąpili na niej przez licznie zgromadzoną publicznością: „Wolanie” z Woli Raniżowskiej, którzy pokazali polkę co-



Zespół wieńcowy z Zielonki.



Wieńczarki z sołectwa Posuchy.



Zespół wieńcowy z Woli Raniżowskiej.



Posel Zbigniew Chmielowiec i pani Halina Indyk dziękują zespołowi z Raniżowa za otrzymane wieńce.



Wieńczarki z sołectwa Poręby Wolskie.



Okazałe wieńce z sołectwa Mazury.

untry i tango, „ZPiT „Lesiaki” z Raniżowa w suicie tańców rzeszowskich, zespół „Grančan” z Granč-Petrovców ze Słowacji. Niezapowiedzianą atrakcją tegorocznych dożynek był koncert alumna seminarium duchownego z Paragwaju Nicolasa Delgado, który akompaniując sobie na gitarze zaśpiewał kilka piosenek religijnych po hiszpańsku i włosku, niektóre z nich znane wszystkim, jak np. „Czarna Madonna”.

Jak nakazuje tradycja, podczas dożynek jest poczęstunek, są śpiewy i jest zabawa. Tak też było w Raniżowie w dniu 29 sierpnia br. Organizatorzy przygotowali 500 porcji darmowego bigosu, który był serwowany z zabytkowej kuchni polowej. Ta zaś podczepiona była do równie zabytkowego Ursusa. Obok prezentował się drugi

z kolekcji tych traktorów. „Przywracaniem ich do życia” zajmuje się od wielu już lat pasjonat z Raniżowa p. Jan Twardowski. Całość stanowiła niezwykle atrakcyjną raniżowską imprezę.

Od 1996 roku stałym punktem dożynek raniżowskich jest wystawa płodów rolnych organizowana przez doradcę terenowego PODR Krystynę Kościółek. Mimo niezbyt sprzyjającej dla rolników pogody udało się na niej zgromadzić wiele eksponatów zbóż, okopowych, roślin ozdobnych, ziół. Wszystko to pochodziło z terenu gminy Raniżów. Ekspozycja ta była okazją do wymiany doświadczeń pomiędzy zainteresowanymi rolnikami, służyła poznaniu nowych odmian roślin uprawnych. A dla dzieci była ciekawą lekcją przyrody.

Obok wystawy konkurs z zakresu bhp w rolnictwie przeprowadził pracownik Placówki Terenowej KRUS w Kolbuszowej. Każdy odpowiadając prawidłowo na jedno pytanie z tego zakresu miał szansę na otrzymanie jednej z trzech nagród, który były rozlosowane pod koniec imprezy.

cd. na str. 6



„Wolanie” młodszy tańczą polkę country.



„Wolanie” starsi prezentują tango argentyńskie.



Suita tańców rzeszowskich w wykonaniu „Lesiaków” z Raniżowa.



Zespół z Granč-Petrovców prezentuje tańce słowackie.



Zabytkowy Ursus z kolekcji p. Jana Twardowskiego.



Małe Słowaczki śpiewają o powstawaniu chleba.



Final loterii fantowej – rower ufundowany przez GS Raniżów trafia do pani Urszuli Marut ze Stanisławskiego. Z mikrofonem konferansjer i organizator dożynek – Stanisław Samojedny.



Alumn Nicolas Delgato z Paragwaju.

Osobliwą atrakcją od 2006 roku na raniżowskich dożynkach jest loteria fantowa. Dzięki staraniu dyr. GOKSiR Stanisława Samojednego i hojności darczyńców udało się zgromadzić na niej 60 atrakcyjnych fantów: począwszy od wiejskiego chleba, poprzez sprzęt AGD, rośliny ozdobne, wyroby cukiernicze, wędliniarskie, rowery. Dzięki temu kilkudziesięciu uczestników dożynek, do których los się uśmiechnął, stało się właścicielami tych upominków.

Dożynki tradycyjnie zakończyły się zabawą taneczną (z wstępem bezpłatnym), która trwała do późnych godzin nocnych.

Stanisław Samojedny, fot. Monika Samojedny

Fundatorzy fantów w loterii fantowej: p. Danuta Pikor; Firma WMW Produkcja i Sprzedaż Brykietu Ekologicznego; p. Maria Iskra; Salon Fryzjerski „Margo”; Sklep „Hedel Junior” Jolanta Dec; Szkoła Drzew i Krzewów Ozdobnych; Klub Sportowy „Raniżovia”; Wulkanizacja, komputerowe wyważanie kół, Kazimierz Kusy; PZU Filia w Kolbuszowej; Mechanika Pojazdowa Krzysztof Białas, Mazury; Wyroby cukierniczo-ciastkarskie Małgorzata Sudoł; Serwis Samochodowy Auto-Gaz, Paweł Kobylarz, Kolbuszowa; Spark System Serwis komputerowy Raniżów; Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Raniżowie; PHU DAGSTÓJ; Apteka Pharna; Firma budowlana „REMBISZ” Zielonka; Agent PZU w Mielcu Grzegorz Woś; Sklep spożywczo-przemysłowy Władysław Kobylarz; „Abakus” s.c. drukarnia studio Kolbuszowa; Sprzedaż węgla i materiałów budowlanych oraz usługi transportowe Eugeniusz Wilczyński; Kamieniarstwo Betoniarstwo nagrobkowe Józef Bajek Wola Raniżowska; Sklep spożywczo-przemysłowy Stanisław Prus Wola Raniżowska; Usługi Projektowe i Nadzory Budów „PROJ-BUD” Henryk Bajek Wola Raniżowska; FULLFARB Spółka M. Łuczyk St. Sasiela; Wójt Gminy Raniżów Jan Niemczyk; Przewodniczący Rady Gminy Daniel Fila; Poseł na Sejm RP Zbigniew Chmielewicz; Firma „BRUK-BUD Biz” Sławomir Szczepankiewicz Dzikowiec; Spółdzielnia Usług Rolniczych w Raniżowie; Zakład Mięśny SOJA Wola Raniżowska; p. Mieczysław Tylutki; Firma Wiertnicza Paweł i Krzysztof Majcher Stanisławskie; Gospodarstwo „Wilkówka” Gerard Wilk Raniżów; Gminna Spółdzielnia „Sch” w Raniżowie.

Co jest co, czyli o „Sobótkach” i „Zielnej”

Niedawno w Raniżowie odbyła się IV edycja imprezy plenerowej „Sobótki”. Co roku podczas tego wydarzenia przypominana jest historia „Sobótek” oraz wiążące się z nią tradycje. Pomimo tego wciąż szczególnie młodsza część mieszkańców gminy, nie ma pojęcia o co chodzi w „Sobótkach”, co oznacza palone z tej okazji ognisko i jaka jest jego geneza.

Aby rozwiać wszelkie wątpliwości spróbuję wyjaśnić, o co tak naprawdę chodzi w dzień „Sobótki” i jak ten dzień wiąże się ze Świętem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny.

Tak więc „Sobótka” to obrzędowy ogień, palony wieczorem w wigilię święta. W naszym regionie palimy „Sobótki” przed Świętem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny (inaczej zwanym Świętem Matki Boskiej Zielnej, a np. w Czechach Matki Boskiej Korzennej).

Dawniej, szczególnie na naszych ziemiach kultywowanie „Sobótkowych” tradycji było obowiązkiem każdego dobrego gospodarza, który w wigilię Wniebowzięcia zapalał na swoim polu „Sobótkowe” ognisko. Ogień oznaczał radość z tego, że Matka Boska została wzięta do Nieba. Przy tych ogniskach tańczono, skakano, oraz śpiewano pieśni do Maryi np. „O Maryjo czemu biegiesz w niebo, z jaką śpieszysz do Boga potrzebą”.

Natomiast Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny to Święto obchodzone w Kościele już od V wieku. W Polsce i w krajach europejskich czci się Matkę Boską Wniebowziętą jako patronkę ziemi i jej bujnej roślinności. W niektórych rejonach Polski, także i naszym, w czasie obrzędów religijnych związanych z tym świętem błogosławi się wiązanki kwiatów. Zgodnie z tradycją bukiet taki powinien zawierać: kalinę, jabłko, proso, koper, tatarkę, kłosy zbóż, zioła, boże drzewko, piołun, makówki oraz kwiaty i marchew (ilość marchwi w bukiecie oznaczała liczbę posiadanych przez dane gospodarstwo krów). Wierzono, że taki bukiet nabiera cudownych, leczniczych właściwości. Podczas powrotu z kościoła zostawiano go wśród upraw gdzie miał przynieść szczęście w zbiorach po czym, po kilku dniach, zabierano go do domu, gdzie był przechowywany bardzo pieczołowicie. Okadzano nim izbę, a z jego ziół robiono lecznicze herbatki na przeróżne dolegliwości.

Uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w

Raniżowie była największym Świętem w całej okolicy. Aby zdążyć na główną mszę odpustową (która była odprawiana wcześniej niż aktualnie), wierzni z sąsiadujących miejscowości wstawali skoro świt (o godz. 5.00). Po dokonanych obrządku wyruszali boso w drogę, buty w tamtych czasach były najcenniejszą częścią garderoby, dlatego przybyszący na odpust często wędrowali kilka, lub nawet kilkanaście kilometrów niosąc buty przewiązane i przerzucone przez ramię – ubierano je dopiero

przed samym Raniżowem. W taki sposób docierali do naszej miejscowości mieszkańcy m.in. Lipnicy, Wilczej Woli, Woli Raniżowskiej oraz Dzikowca. Po uroczystościach Kościelnych wszyscy goście przychodzili na Raniżowski rynek, gdzie w owym czasie rozstawiano stragany z artykułami spożywczymi i nie tylko. Największym zainteresowaniem cieszyły się ogórki kiszzone, które można było kupić za złotówkę, lub wymienić za kurze jajko (była taka niepisana tradycja, że pierwszego ogórka kiszzonego zjadało się w Raniżowie). Najlepszymi ogórkami handlował wysoki wąsaty człowiek zwany przez wszystkich Wickiem, mieszkał on w domu, który stał w tym miejscu, gdzie dzisiaj usytuowany jest pawilon handlowy (starsi ludzie wspominają, że ów Wicek wykrzykiwał: Ogóry jak knury, tylko u mnie!).

Tak było u nas, jednak Największe obchody Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny miały i nadal mają miejsce w Kalwarii Yebryzdowskiej, gdzie odbywają się inscenizacje Zaśnięcia Maryi oraz jej Wniebowzięcia.

Przemek Marut



Sobótki 2010

W upalną sierpniową niedzielę (14.08) na stadionie sportowym odbyła się kolejna edycja imprezy plenerowej pt. „Sobótki Raniżowskie”. Organizatorem IV już edycji „Sobótek” był, tak jak w poprzednich latach, Klub Sportowy „Raniżovia”, na czele z Prezesem Mieczysławem Burką. Gwiazdą wieczoru był duet ZA-NO-ZA.

Obchody „sobótek” rozpoczęto dosyć wcześnie, bo o godz. 15.00, wtedy to na „Orliku” rozegrano finały „Ligi Podwórkowej”, w których zmierzyły się drużyny chłopców w wieku wczesnoszkolnym. Do finałów tego projektu, któremu patronował Klub Sportowy „Raniżovia” zakwalifikowały się drużyny z Woli Raniżowskiej, Raniżowa, Stanisławskiego, Posuch i Zielonki. Jako, że turniej ten ma na celu umożliwienie młodym chłopcom rozwijania pasji do piłki nożnej, oraz zdrowej rywalizacji – nagrodzeni zostali wszyscy uczestnicy, bez względu na końcowy rezultat. Młodzi adepci piłki nożnej, którzy kiedyś stanowiąc będą o przyszłości „Raniżovii”, zostali uhonorowani pamiątkowymi dyplomami, oraz kibicowskimi gadżetami z logo „Raniżovii” (czapeczka, smycz do kluczy oraz



Młodzi piłkarze otrzymują nagrody od prezesa KS Mieczysława Burka.

notes), które odebrali na głównej scenie z rąk Prezesa Klubu oraz opiekunów: Andrzeja Warzochy, Karola Steca i Piotra Pomykały.

O godz. 16.00 na głównej płycie stadionu rozpoczął się towarzyski mecz oldboyów pomiędzy reprezentantami Raniżowa, a drużyną z Dzikowca. Nasi piłkarze pokazali „dobre serce” i pozwolili gościom wygrać różnicą jednej bramki (7:8). Zwycięska drużyna, także nie pozostała dłużna i podzieliła się wygraną beczką piwa, którą zasponsorował Hotelik „Gran - Lech”.

cd. na str. 8

cd. ze str. 7

Kiedy mecz dobiegał końca, na głównej scenie wystąpiła grupa tańca nowoczesnego „NANTE”, której patronuje GOKSiR, a bezpośrednią opiekunką jest Monika Samojedny. Potem rozpoczął się koncert zespołu „Bluff”. Ta Sokołowsko - Raniżowska (w zespole występuje Piotr Miłoś z Raniżowa) grupa rockowa zaprezentowała utwory z pogranicza Hard Rock'a i reggae. Zespół zademonstrował własne piosenki z wydanej nie-



Młode tancerki z zespołu „Nante”.



Ewa Siembida



i Agnieszka Tylutki.

dawno płyty demo. Dzięki głośnemu graniu i niewątpliwie ciekawemu wokelowi ściągnęli pod scenę grupkę fanów, którym takie brzmienia najbardziej przypadły do gustu. Po godz. 19.00 na scenę wkroczyły wokalistki z Centrum Sztuki Wokalnej w Rzeszowie - Agnieszka Tylutki i Ewa Siembida. Solistki, które mają na koncie wiele nagród na krajowych i zagranicznych festiwalach (m.in.: II miejsce na Festiwalu „Małe gwiazdeczki” w Bułgarii, I miejsce na Festiwalu „Kaunas Talent” na Litwie, I miejsce na Festiwalu „Młoda Galicja” na Ukrainie, czy I miejsce na Festiwalu „Nowa Piosenka w Starym Krakowie”) zaprezentowały przed Raniżowską publicznością wiele znanych utworów z repertuaru różnych polskich wokalistów, co widzowie przyjęli gromkimi brawami.

Wieczorem o 20.00 na scenie pojawił się Kabaret „To To Nie Jest” z Niska. Młodzi komicy, którzy dopiero niedawno zdecydowali się na



Kabaret „To To Nie Jest” z Niska.

publiczne występy, mają w planach start w przeglądzie amatorskich kabaretów akademickich PAKA. Między innymi dlatego zależało im na tym, aby dobrze wypaść w Raniżowie i chyba występ był udany, bo publika z chęcią angażowała się w skecze, szczególnie te o tematyce politycznej.



Moment podpalenia raniżowskiej sobótki przez Mieczysława Burka, Jana Niemczyka i Daniela Filę.

Krótko po tym jak Kabaret zeszedł ze sceny, nastąpiła główna część wieczoru, czyli rozpalenie „sobótkowego” ogniska. Ceremonia ta została rozpoczęta o godz. 21.00 (tak jak co roku), wtedy to wygaszono zupełnie oświetlenie na całym stadionie. Przy pełnym mroku widzowie mogli dostrzec jedynie trzy płonące pochodnie, które nieśli: Wójt Gminy Raniżów p. Jan Niemczyk, Przewodniczący Rady Gminy Raniżów p. Daniel Fila oraz główny inicjator obchodów „Sobótek”, Prezes Klubu Sportowego „Raniżovia” p. Mieczysław Burek.

Ci trzej panowie rozpalili ognisko, które uprzednio było profesjonalnie ułożone przez straż pożarną i wolontariuszy. „Sobótkowy” ogień palił się przez całą noc, a nad bezpieczeństwem podziwiających go ludzi czuwali strażacy dowodzeni przez Komendanta Ryszarda Kawalca.



Gwiazda wieczoru – Zespół „ZA-NO-ZA”.

Ostatnim występem na scenie tego wieczoru był koncert zespołu Za-No-Za, który tworzą wokalistki Elena i Monika. Dziewczyny wraz z towarzyszącym im DJ'em Meysonem zaprezentowały znane rosyjskie piosenki w nowych dance'owych aranżacjach. Publiczność bawiła się więc w rytm „Kalinki” i „Bielyje Rozy”, koncert był na tyle udany, że zespół musiał bisować. Po tym występie rozpoczęła się zabawa taneczna, podczas której grał zespół „Sallen”.

Impreza, tak jak w ubiegłych latach zgromadziła setki widzów, którzy bawili się do samego jej końca. Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby nie organizatorzy, czyli: Klub Sportowy „Raniżovia”; Hotelik „Gran-Lech” – Pani Grażyna i Pan Leszek Werstak; Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji, Urząd Gminy Raniżów (na czele z Wójtem Janem Niemczykiem i Przewodniczącym Rady Gminy Danielem Filą); OSP Raniżów – Komendant Ryszard Kawalec oraz strażacy: Jerzy Kasica, Marcin Białas, Paweł Sala, Magdalena Matejko, Marcin Samojedny, Mateusz Rumak, Jan Woś i Zenon Ryczek; Rada Sołecka z Raniżowa; wolontariusze: Grzegorz Woś, Roman Kochanowicz, Rafał Kobylarz, Michał Burek, Paulina Burek, Andrzej Warzocha, Sławomir Samojedny, Krzysztof Lis, Adam Dul, Mirosław Kobylarz oraz Maria Mroźkiewicz. Podziękowania należą się również sponsorom: UG Raniżów, Programowi Integracji Społecznej, Sołectwu Raniżów, Lokalnej Grupie Działania „Siedlisko” oraz firmie budowlanej „Rembisz” – Ryszarda Rembisza z Zielonki. Wszystkich zapraszamy ponownie za rok.

Przemek Marut, fot. Stanisław Samojedny

Los człowieka – część I

Mazurzanin Franciszek Sączawa na nieludzkiej ziemi

1. Mój wujek Franek

Franciszek SĄCZAWA urodził się 11 listopada 1907 r. w ówczesnej gminnej wsi Mazury, powiatu kolbuszowskiego w Galicji. Był ostatnim dzieckiem Jakuba i Katarzyny z Frączów, wśród sześciorga rodzeństwa. Wychowywał się razem z siostrą Agnieszką, starszą od siebie nieznacznie. Reszta rodzeństwa przebywała w Stanach Zjednoczonych Ameryki za chlebem. Były to jeszcze czasy rozbiorów i niewoli narodowej. Franek urodził się pod zaborem austriackim i był poddanym cesarza Franciszka Józefa Habsburga, miłościwie panującego Polakom w Galicji. Wzrastał w Mazurach w „dzielnicy” Sołtyse-Górka. Dom rodzinny stał przy drodze zwanej Górnym Gościńcem, wśród sosnowych zagajników, obok ubogich, piaszczystych poletek żyta, owsa i kartofli ciągnących się wąskimi paskami aż do Sokołowskiego Lasu.

Szkolę powszechną ukończył Sączawa już w wolnej Polsce w 1921 roku. Uczył się słabo, bo co też to była za nauka. W 1914 roku czas było iść do I klasy we wrześniu, a tymczasem szkołę zajęło wojsko austriackie, bo w sierpniu wybuchła wojna austriacko-rosyjska. Normalna kolej rzeczy, bo granica z Rosją była tuż za Sanem w odległości 20 km od Mazurów. Późną jesienią przyszli znowu Moskale, spychając Austriaków aż pod Kraków, a budynki szkolne zajęli na koszary. Dzieci uczyły się, ale po prywatnych domach. Dopiero wiosną 1915 r. ostatecznie przepędzono Rosjan daleko na wschód od Mazurów, bo aż na Wołyn. Mazurska szkoła mogła rozpocząć od 15 maja normalne zajęcia w swoim okazałym, jak na tamte czasy, budynku murowanym i piętrowym. Od tego czasu aż do końca wojny szkoły nikt więcej nie zajmował. Mazurska dwuklasówka pod kierownictwem pana Jana Świątki funkcjonowała już normalnie.

Franciszka nauka szkolna niewiele interesowała. Kiedy latem 1917 roku w wielkim pożarze Mazurów spłonęła doszczętnie zagroda Sączawów, Franek do szkoły chodził już tylko w kratkę. Pomagał rodzicom, pasając krowy. Dachy nad głową też prędko nie było i miejsca do nauki w domu. Ukończył szkołę u zarania odradzającej się II Rzeczypospolitej, ale czytać i pisać poprawnie nie potrafił. Taka była prawda.

W 1919 roku Sączawowie ściągnęli zza oceanu swoją starszą córkę Zofię. Byli już nie młodzi i ją widzieli jako dziedziczkę swojego gospodarstwa i oparcie na starość. Szybko wydali ją za mąż za swojego ojca Tomasza Kusa, niedalekiego sąsiada, który co dopiero powrócił z wojny do Mazurów, po wieloletniej tułaczce. Zdzążyli również wywianować młodszą córkę Agnieszkę za dolary mojej mamy i wnet pomarli oboje. Franek został odtąd na głowie siostry, przynależny do naszej zagrody i rodziny. Tak więc wzrastaliśmy z nim razem obok siebie przy różnicy wieku 14 lat. On brat mojej mamy i mój wujek, a ja jako pierworodny jej syn i jego siostrzeniec.

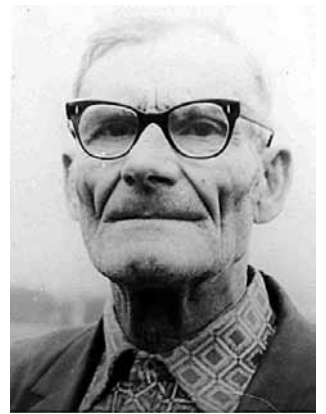
Nie siedział w domu, niewiele pomagał w naszym gospodarstwie. Wyjeżdżał rokrocznie na „saksy” na Pomorze lub w Poznańskie. Wynajmował się na sezon do pracy u bogatych gospodarzy. Na zimę wracał po Wszystkich Świętych do Mazurów. Miał pieniądze. Ubierał się, bawił na zabawach i weselach z rówieśnikami. Tańczył świetnie, miał powodzenie u płci odmiennej. Darmo dach nad głową, miejsce do spania i stół były u siostry na ojcowiznie. Dobrze mu się żyło przez kolejne zimy. Po Wielkanocy zawsze wyjeżdżał na kolejny zarobek. Przyszedł kryzys światowy, już tak łatwo nie było. Był rok, że przewędrował całe Po-

morze i pracy nie znalazł. Na bilet też nie miał pieniędzy. Przywiązany do wózków podwagonowych przejechał z Bydgoszczy do Rzeszowa „na gapę” – bez biletu taborem towarowym. Złapany przez ochronę kolei na tym „przestępstwie”, poza uszczerbkiem na własnym zdrowiu, innych konsekwencji nie poniósł żadnych. Pracując poza Mazurami zrozumiał, że lata szkolne zmarnował, bo listu do siostry nie był w stanie sam napisać, a musiał korzystać z pomocy osoby trzeciej. Był jednak zdolny, bo przez jedną zimę korzystając z pomocy mego ojca, zdążył opanować pisanie i czytanie. Przestał być wtórnym analfabetą, i to mu zostało już do śmierci.

Do nauki zawodu też się nie garnał sam. Moi rodzice też go nie popychali w tym kierunku. Miał smykałkę do każdej pracy, którą wykonywał zawsze dobrze. Gdy chciał, robota każda paliła mu się w rękach. Był w Mazurach fryzjerem – samoukiem. Strzygł za 10 groszy kolegów, gospodarzy i wszystkie dzieci w naszej „dzielnicy”. W tym celu soboty od rana do późnej nocy miał zawsze zajęte, a w naszym domu co tydzień było pełno gości. Tak zleciała mu młodość.

Przyszedł czas, by się ustabilizować i założyć rodzinę. Chętnych do zamążpójścia wśród mazurzanek nie brakowało. Brak było tylko hektarów na chleb dla rodziny. Jego sympatie, które znałem, podobnie jak on też hektarów nie miały. Gdzie były hektary, czy morgi, to znowu teściowa dawała kawałek ziemi córce, ale pod warunkiem, że zięć wniesie również ziemię do wspólnego gospodarstwa. Franek swojej ziemi po rodzicach nie posiadał. Chciał, by mu moja mama odpisała dwie morgi z ojcowizny, to pójdzie z domu. Odpisać nie było z czego, bo ziemi mieliśmy za mało dla siebie. Tak koło się zamykało i wujkowi zaczęła dochodzić już 40-tka, a własnego gniazda dalej nie miał.

Pod koniec lat 30-tych Franek spuścił z tonu i zaczął się rozglądać za wdowami młodymi, co to morgów nie potrzebują, a tylko zdrowych rąk do pracy. Znalazła się taka w niedalekim sąsiedztwie. Miała gospodarstwo podobne wielkością do naszego i tylko dwoje dorastających już dzieci. Pomagał jej w pracach w gospodarstwie za opłatą. Wnet jednak „zaiskrzyło” między nimi i postanowili resztę życia spędzić razem. Zaczęły się jednak przeszkody. Byli oboje bliskimi krewnymi i na ślub potrzebna była zgoda aż biskupa z Przemyśla. Gdy ją z niemalym trudem otrzymali, Franek zażądał od „przyszłej ślubnej” zabezpieczenia hipotecznego jej majątkiem na starość, by go pasierby nie wyrzuciły z domu, gdy jej zabraknie. Broniła się przed tym krokiem, ale wujek uparł się, że za „parobka” to on do niej nie pójdzie i wesela nie będzie. Gdy wreszcie uległa żądaniom – gdy wydawało się, że miłość zwyciężyła, Frankowi coś strzeliło do głowy raptem i oświadczył, że w starym ubraniu to on do ślubu nie pójdzie na Wielkanoc w 1939 r. Jak czekał tyle, to jeszcze poczeka pół roku. Pojedzie jeszcze na „selery” tym razem do Łotwy, bo otwarła się akuratnie możliwość zarobić na ślubny garnitur i wesele będzie na Boże Narodzenie. Nic jednak z tych planów nie wyszło. Pokrzyżowała je zupełnie II wojna światowa.



Franciszek Sączawa

cd. ze str. 9

2. W Łotwie za chlebem

Jak pomyślał nasz Franek, tak i postanowił. Po Wielkanocy 1939 roku wraz z dwoma jeszcze mazurzanami wyjechał na zarobek za granicę Polski – do Łotwy. Razem z kolegą z naszej „dzielnicy” Józefem Olszowym, zwanym „od Kubowej spod Krzaków”. Praca u bogatego Łotysza, potomka „Kawalerów Mieczowych” – byłego Niemieckiego Zakonu Rycerskiego była zaklepana zawczasu przez organizatora wyjazdu. Mimo zupełnej nieznajomości języka, jakoś Franek dawał sobie radę w obcym środowisku. Pracę na roli znał. Był zdrow. Pracy się nie bał i co najważniejsze, nieźle zarabiał. Majątek, w którym był zatrudniony, znajdował się niedaleko miasta Rzeczyca w głębi Łotwy. Przysłał stamtąd tylko dwa listy w ciągu sezonu. Wiosna i lato szybko mu zleciały. Ubrał się i miał zarobione pieniądze. Cekał niecierpliwie na koniec sezonu i powrót na Wszystkich Świętych do Polski, do Mazurów i na ślub z ukochaną Zofią na Boże Narodzenie. Marzyło mu się być gospodarzem w Mazurach. On, gospodarski syn, nie wyobrażał sobie innego zawodu w życiu. Jak grom z jasnego nieba spadła na niego wiadomość z kraju ojczystego, że 1 września wybuchła wojna, że Polski nie ma, że Niemcy i Moskale dokonali IV rozbioru Ojczyzny, że znów okupacja i niewola narodowa.

Przed wojną polityką nie zajmował się wcale. Teraz zaczął po mału rozumieć, co się stało. Baronowie i „baorzy” łotewscy świętowali zwycięstwo III Rzeszy. Przygadywali Polakom pracującym u nich, jak to przełuchali Ojczyznę i nie obronili jej w potrzebie. Stawali się butni. Odradzał się w nich duch germańskich przodków, gdzie tkwiły ich korzenie. Niedługo jednakże, jak pokazała przyszłość niedaleka, cieszyli się, bo już za niecały rok też utracili swoją niepodległość na rzecz Związku Sowieckiego.

3. Niedoszły powrót do Mazurów

Na razie jednak nic nie zapowiadało tragedii, która nastąpiła niebawem. Sezon na jesieni zakończył się. Pożegnał się Franek Sączawa z gospodarzami. Pokupił prezenty dla nas siostrzeńców. Kupił bilet na stacji w Rzeczyca na pociąg osobowy i w drogę. Przy przekraczaniu granicy w Dyneburgu z Łotwy, na okupowane przez Związek Sowiecki ziemie kresowe byłej już Polski nie było problemów. Przez Wilno, Boronowicze, Sarny, Równe, Lwów – przyjechał do Przemyśla. Tu stop! Dalej pociągi nie jeżdżą. Granica państwowa na rzece San zamknięta i pilnowana przez obie strony. Do Mazurów stąd już tylko około 70 kilometrów, ale dalej „niełzia”. Wracali razem z kolegą Olszowym. Razem znaleźli się w obozie dla przesiedleńców, których bardzo wielu czekało w Przemyślu na otwarcie granicy, ale mijały dni i tygodnie, i do tego nie dochodziło.

Była już późna jesień, nadciągała zima, rano przymrozki, lód skrzy się na kałużach. Franek z Józefem, jak wielu innych, siedzą w obozie przejściowym w jakichś poaustriackich koszarach. Przejadają to, co zarobili na Łotwie, a nadziei nie widać. Niedługo będą Święta Bożego Narodzenia. Ma być ślub Franka. Do Mazurów blisko, ale „niełzia”. Józek Olszowy postanowił czekać. Napewno na Święta granicę otworzą choć na dwa dni i się przejdzie za San. Franek bardziej niecierpliwy skontaktował się z przemysłnikami miejscowymi, co nocami przerzucali chętnych przez San na stronę niemiecką za sówitą opłatą. Za złoty zegarek na rękę nabyty na Łotwie, co miał mu mierzyć czas do końca żywota, razem z pięcioma podobnymi do niego, oddał się „pod opiekę” Ukrainca i ciemną deszczową nocą mieli bezpiecznie przekroczyć granicę między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim na Sanie w Przemyślu. Przemysłnik zdrójca poprowadził ich całą grupą zamiast na drugą stronę, to prosto na sowiecki posterunek graniczny. Wszyscy „wpadli” i wylądowali na Zasaniu, ale w sowieckim więzieniu.



Obozowa wieża strażnicza zrekonstruowana w skansenie budownictwa drewnianego w Szymbarku, woj. pomorskie. Fot. St. Samojedny.

4. W kazamatach NKWD

Jak po latach w rozmowach z Franciszkiem ustaliłem, miejsce gdzie mieli San pokonać, było niemożliwe do pokonania nawet wtedy, gdyby to było w czasie letniej wycieczki turystycznej. Obok zwanego w działaniach wojennych mostu drogowego, w centrum miasta, z wysokiego w tym miejscu brzegu południowego, gdzie San głęboki i o bystrym nurcie, nie było wtedy jesienią możliwe pokonanie rzeki. Znam to miejsce dobrze. Przyglądałem się mu nieraz, gdy służyłem w Przemyślu dwukrotnie w czasie mojej służby wojskowej. Były miejsca w mieście i okolicy, gdzie San jest płytki i ma brzegi dostępne, gdzie można go było pokonać, ale nie w tym miejscu, gdzie poprowadzono mojego wujka Franka i jego towarzyszy niedoli. Wpadł więc Franciszek Sączawa na granicę państwa i jako „szpion” znalazł się za kratami przemyskiego więzienia.

Okrutne śledztwo, bicie, poniewieranie godnością ludzką. Namowa do podjęcia pracy szpiegowskiej dla NKWD na „germańskiej stronie” i wtedy przerzut przez kordon i perspektywa dostania się do rodziny. Franek odmawia. Więc znowu bicie i mocne przesłuchania. Wreszcie po miesiącu śledztwa sąd. Krótka rozprawa i wyrok w imieniu Sowieckowa Sojuza – 5 lat więzienia. „Polaczek – szpion”. Przesiedział kolejny miesiąc we więzieniu w Przemyślu. Przeniesienie w głąb Ukrainy do Charkowa. Przemysliwał nad swoim dalszym losem. Dywersant szpieg przekraczający nielegalnie granicę państwową. Co go czeka? W Charkowie cela wilgotna, posadzka stale mokra, przepełniona, krymina-

liści, polityczni i byli żołnierze razem. Różne języki i różne narodowości. Jedzenie marne bardzo. Brak światła dziennego, mroczny wilgotny loch. Wydawało się naszemu Frankowi, że tu już będzie z nim koniec. Wprawdzie już przesłuchań oraz bicia i torturowania nie ma, ale w takich warunkach czeka go już tylko powolna śmierć, a 5 lat, które nad nim wiszą, wloką się bardzo powoli.

5. „Wycieczka na białe niedźwiedzie”

Wiosna wystrzeliła nagle w pełnej swojej krasie, jak to zwykle bywa na Ukrainie. Orgia zieleni i cała tęcza kwiatów. Wszystko wokoło napawa się radością, o on Franek Sączawa – mazurzanin, dziecko swobody i wolności, gnije tu w charkowskim więzieniu i błękitne niebo ogląda tylko zza kraty. Była to pamiętna dla niego wiosna 1940 roku. Nikogo nie prosił, nic nie podpisywał, a tak po prostu z dnia na dzień została mu zamieniona kara więzienia na obóz pracy – sławetny „łagier”. Związek Sowiecki potrzebował darmowych rąk do pracy na wielkich budowach. Europa nurzała się w wojnie, a on się do niej intensywnie przygotowywał, sprawdzając swoje możliwości militarne w wojnie z Finlandią, co nie wróżyło szybkich osiągnięć na polu militarnym.

Pewnego majowego dnia wraz z około pół tysiącem więźniów, zostaje załadowany do wagonów bydłowych, po 50 ludzi na rampie w Charkowie. Wagony zaryglowano. Konwojują ich umundurowani enkawudziści. W wagonach brudno, tłok, żadnych ławek, żadnych przychy. W kącie dziura w podłodze do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Duchota, brak powietrza. Małe okienko pod dachem wagonu zakratowane. Nocą opuszczają Charków i wnet nikną za nimi luny i dymy Ukraińskiego Zagłębia Węglowego. Jazda przeważnie nocą. W dzień postoje na bocznicach. Codziennie do transportu podjeżdża kuchnia polowa. Cienka zupa z brukwi i kawałek gliniastego chleba, jako dzienna norma musi wystarczyć. Brak wody. Dają tylko po litrze na dobę na człowieka.

Trzeciego dnia ktoś przez szparę w drzwiach wagonu wypatrzył napis – Moskwa. Jedzie transport na północ, nie na wschód za Ural, nie na Sybir. Ale gdzie? Przyszli „łagiernicy” są jeszcze w Europie. Po obiedzie pociąg ruszył. Za dobę sprawa się wyjaśniła. Jest miasto Jarosław. Pociąg nie jedzie na Sybir na wschód, ale na północ na „białe niedźwiedzie” w Tajgę. Mijają Wołogdę, Kotłas – transport ciągnie na daleką północ pod koło podbiegunowe. Po prawie dwóch tygodniach jazdy wyładowano ich więźniów na małej stacji Ajkina niedaleko Uchty, na szlaku kolejowym budowanym aktualnie do Zagłębia Węglowego Workuta, daleko za kołem polarnym na północnym Uralu.

6. Na nieludzkiej ziemi. Łagier „Ajkina”

Po przeliczeniu na peronie stacyjki dotychczasowa enkawu-



Barak obozowy dla więźniów (skansen w Szybarku).

Fot. St. Samojedny.



Pociąg, jakim transportowano zesłańców (skansen w Symbarku).

dowska ochrona przekazała więźniów formalnie ochronie Obozu Pracy „Ajkina”. Sformowano długą kolumnę pieszą, która ruszyła do odległego o około 20 km obozu. Wielu maszerujących, po więziennej celi i dwutygodniowej podróży bez ruchu, ma trudności z pokonaniem tej odległości. Przy pomocy kijów ochrony i ramion kolegów więźniów wreszcie wszyscy osiągnęli bramę obozu. Było późne popołudnie. Ustawiono więźniów w kolumnach na placu obozowym. Obóz był wielki, otoczony płotem podwójnym z kolczastego drutu, podzielony na sektory i obstawiony wieżami strażniczymi z karabinami maszynowymi. Rzędy baraków drewnianych, zbudowanych z okrągłaków, ledwo okorowanych i uszczelnionych mchem leśnym. Drzwi na szczytach i małe okienka w ścianach.

Po dłuższym czekaniu powitał przybyłych komendant obozu w otoczeniu starszyny obozowej: „Będziecie tu żyć i użytecznie pracować dla dobra Rodiny i Sowietowsko Sojuza, by zmyć swoje grzechy względem nich. Niech nikt nie próbuje uciekać, bo z łagru jeszcze nikt nigdy nie uciekł. Wokoło tylko tajga i głodne wilki. Praca będzie przy wycinaniu tajgi i budowie torów kolejowych. Codziennie pobudka o 6.00 czasu moskiewskiego i cisza nocna po wieczornym apelu. Zrozumiano? Teraz na obiad!”

Ten zapowiedziany apel był codzienną zmurą obozowiczów. Stanie na placu często długo w noc, godzinami bez ruchu i opędzanie się w okresie wiosny i lata arktycznego od roju komarów, które cięły bez litości. Jeszcze gorsza od komarów była meszka – małutkie stworzonko atakujące zwartą chmurą, wlażące do nosa, do oczu, do ust, po prostu wszędzie. Ataki komarów i meszek trwały cały dzień, a nasilały się wieczorem. Żadnego środka przeciw tej pladze więźniom nie dawano, chociaż ochrona obozu go miała. Apel zawsze się przedłużał, gdy załoga pomyliła się w rachunkach i nie zgadzał się stan więźniów. Wtedy liczone do skutku, nie zważając na to, że rano o 6.00 będzie pobudka.

cd. na str. 12



Wnętrze obozowego baraku. Na zdjęciach: Stanisław Samojedny z synem Łukaszem.

cd. ze str. 11

Praca od rana, po marnym śniadaniu, praktycznie do wieczora, dopóki widno, bo norma goni i zmusza. Gdy się wykonuje wyśrubowaną do granic możliwości normę, to otrzymuje się lepszą normę żywnościową. Gdy zespół normy dziennej nie wykona, to norma żywnościowa jest głodowa. Zamiast 500 gramów chleba tylko 250 na dobę. Chleb nie podobny do tego, jaki znamy. Mokry, lepący się jak glina. Zupa z brukwi wodnista. Kartofel czasem się trafi, trafi się jakaś krupa, kawałek ryby i ścinki kapusty. Smakuje jednak, bo ludzie ciągle głodni. Dobra bo ciepła. Taka sama rano i wieczorem po pracy. Praca ciężka, niewolnicza i katorżnicza. Nie można chorować, bo wtedy też tylko połowa normy żywnościowej. Niedzieli jako takiej nie ma. Jest wolny dzień od pracy, ale co dziesiąty, a nie siódmy, jak w całym cywilizowanym świecie. Klimat zdrowy. Ludzie ze wsi i robotnicy nie chorują na ogół i normie dają rady. Inteligenci, handlowcy, Żydzi nie dają rady wyrobić normy dziennej, chorują i umierają. Pomoc lekarska to iluzja, niby jest oficjalnie, ale niewiele dba o zdrowie obozowiczów. Zmarłych odpowiednia służba sanitarna wywozi ręcznym wozem na cmentarz w tajdze, z dala od obozu. Tu zostają w bieliznie tylko lub całkiem nago wrzucani do płytkiego wykopu i przysypani ziemią, bez nazwiska, krzyża, czy innego znaku, po prostu jak padlina. Po takim pogrzebie obóz słyszy wycie i ujadanie kojotów, które uczują na cmentarzu obozowym, dokopawszy się do świeżych nieboszczyków. „Dziś oni, jutro może ja” – myśli niejeden, nie mogąc zasnąć.

Panuje powszechnie w obozie wszawica i świerzby, a nocami plaga pluskiew syci się krwią łagierników. Jest wprawdzie łaźnia – pospolita rosyjska „bania”, z której obozowicze korzystają raz na dekadę, ale to nie rozwiązuje sprawy, bo śpi się w tym samym ubraniu, co i pracuje. W barakach są piętrowe prycze z drągów, zamiast sienników sosnowa choina i igliwie. Bielizna na zmianę nie ma. Potrzeba ją prać samemu i łątać, gdy się podarła. Za ubranie służy „kufajcza”, jakiś płaszcz czy kurtka oraz „walonki” w zimie. Gorzej latem z obuwiem – pozostają zwykłe „trepy” lub chodaki.

Latem i zimą pogoda dobra. Wiosną, która tu bardzo krótka – roztopy, a jesienią plucha nieustanna. Lato bardzo krótkie – czerwiec, lipiec, sierpień – i ciepłe. Dojrzewają warzywa, ziemniaki, kapusta, które chronią przed szkorbutem i „kurzą ślepotą”. Obóz prowadził swoje polećka warzywne. Ponadto w tajdze dookoła obozu mnóstwo różnych leśnych owoców i jagód oraz zatrzęsienie grzybów jadalnych. Te dary lasu poprawiają znacznie aprowizację obozowiczów. Zdrowe, arktyczne powietrze stawiało na nogi do codziennej, katorżniczej pracy. Zwykle wyrabiało się normę i mimo ustawicznego głodu ciągle żyło.

Franek Sączawa początkowo pracował przy budowie torów kolejowych. Woził żwir, tłuczeń lub piasek ciężkimi, drewnianymi taczkami po nasypie. Jak był mróz, czy w lecie sucho, praca była znośna. Jesienią i wiosną ścieżki były grząskie, a wtedy namoknięte, drewniane kółko od taczki nie chciało się toczyć. Ciężar wyręwał ręce. Najgorsze w tej robocie było noszenie w kilkunastu ludzi szyn kolejowych na drążkach i bardzo przy tym niebezpieczne. Gdy teren równy, to jeszcze jako tako. Gdy były nierówności, rwały się ręce tych, co znaleźli się na górze. Przy jakimkolwiek wypadku leciały nogi i ręce, jak przysłowiowe zapalki.

Po pewnym czasie Sączawa został przeniesiony do pracy przy wyrębie lasu. Tu było łatwiej i bezpieczniej, chociaż też niezupełnie. Tu ścinane drzewa nie zawsze chciały padać tam, gdzie chcieli pracownicy, a często zwykły podmuch wiatru skierował je gdzie indziej. Franek był świadkiem, jak takie padające drzewo dosięgło dwóch więźniów. Zostali siłą uderzenia pocięci na kawałki konarami tak dokładnie, że nie było co zbierać na ciągnik.

W obozie „Ajkina” przebywali „łagiernicy” różnych narodowości: Rosjanie, Ukraińcy, Litwini, Łotysze, Estończycy, Żydzi i Pola-

cy. Był podobóz kobiecy. Wszyscy traktowani są, jak zwykli przestępcy (wyroki 5-10 letnie) i bandyci. Zesłańców pilnują w obozie i w czasie pracy żołnierze NKWD. Żadnej korespondencji. Zesłańcy są odcięci od świata. Żadnej gazety. Strzępy wiadomości, tylko tyle co czasem od strażników się usłyszy. Za co siedzą i ciężko pracują „łagiernicy”? Ktoś uciekł z kolchozu do pracy w mieście bez zezwolenia, inny wieśniak ukraiński odmówił wstąpienia do kolchozu, kobieta w średnim wieku ślub wzięła w cerkwi, a inna starszaka za to, że „w Boha wierzyła” i nie kryła się z tym, ktoś inny, bo pojechał do innej republiki bez zezwolenia, byli i uciekinierzy za kordon (jak Franek Sączawa). Miał w postaci obozowiczów Związek Sowiecki darmowego pracownika z wyroku sądowego.

Był w obozie przypadek ucieczki trzech obozowiczów pod koniec lata 1940 r. Uciekinierów po czterech dniach schwytano i rozstrzelano, zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią, na placu apelowym. Franek, jak potem często opowiadał w rodzinie, był stale w obozie głodny. Ciągłe myślenie o jedzeniu, wieczorem zasypiając i wstając rano, a w Mazurach tam daleko było zawsze chleba u siostry. Na wietrze i słocie, czy w arktycznym, bladym słońcu, w śnieżnej kurzawie, czy trzaskającym 40-stopniowym mrozie, śnił Franek Sączawa i marzył o czarnym, razowym, pachnącym, mazurskim chlebie. Czasem śnił mu się w nocy zapach tego chleba wyciągniętego z ciepłego pieca, chciał go kawałek ułamać... Nagle kopnięcie w nogę, otwiera oczy i słyszy krzyk „bojca” enkawudzysty: „Wstawaj, nada rabotać, uże rano!”. Prysło marzenie i nastąpiła szara rzeczywistość, a zapach ciepłego chleba uleciał.

Dla osłodzenia ciężkiej, katorżniczej doli Franek Sączawa – zesłaniec, łagiernik, szpion, zawdzięcza jednak swoje życie i to, że znalazł się z powrotem wśród swoich, w Mazurach, po latach, temu, że uratował go Rosjanin, strażnik, żołnierz enkawudzista. Był dzień wolny, lato ciepłe, Franek chciał się wykapać w przepływającej obok obozu rzece Północna Dwina. Pływał słabo. Nurt był wartki, a woda mimo lata bardzo zimna. Franka woda porwała, zaczął krzyczeć i tonąć. Widząc to strażnik Rosjanin zdjął buty, położył karabin na brzegu i wskoczył do wody. Dopłynął, wyciągnął Franka na brzeg, pogroził mu i mokry dalej pełnił służbę. Franek, który sporo wody zdążył się już napić, podziękował strażnikowi, jak człowiek człowiekowi i nie zapomniał tego do końca dni swoich. Opatrzność sprawiła, że i enkawudzista w tym konkretnym wypadku jeszcze był człowiekiem i miał ludzkie serce, dzięki czemu Sączawa nie popłynął z prądem Dwiny do Morza Białego przez Archangielsk, ale przeżył i zdążył swoje kości dowieźć do Ojczyzny. Północna Dwina, tam gdzie tonął, miała wielkość Wisły pod Sandomierzem.

Było to już drugie lato spędzone w Tajdze po bardzo ciężkiej i mroźnej zimie. Wokół tylko las sosnowy i świerkowy, przeplatany białymi brzoźami. Pustka poza obozem. Gdzieś tam jacyś ludzie żyją – Komiaci i Samojedzi – w ilości 2-3 na km kwadratowy, ale się ich nie widuje. Do koła podbiegunowego blisko w stronę północną. Na wschodzie widnieją we mgle „sopki” Uralu. Tereny zabagnione i bezdroże. Franek ma za sobą dopiero półtora roku odbytej kary. Czeka go jeszcze trzy i pół roku pobytu w obozie. Co potem? Niewiadomo. Żadnej nadziei powrotu do swoich – do Mazurów. Polski nie ma. Rozdarta i podzielona jęczy w niewoli. Granica między zaborcami – Niemcami i Związkiem Sowieckim – stoi twardo na Sanie i Bugu. Gdzieś na świecie toczy się wojna, ale w obozie niewiele o niej wiadomo. Z tą beznadzieją w sercu budzi się Franek Sączawa w obozie „Ajkina” codziennie. Pracuje ciężko na kawałek „chleba naszego powszedniego” i miszkę zupy ciepłej oraz zasypia zmęczony i wyczerpany. Tylko kolorowe światła zorzy polarnej, które często rozbłyskują długo na niebie nad obozem i niezachodzące wcale słońce w środku lata osładzają nieco ten nędzny byt człowieczy.

(ciąg dalszy w następnym numerze)

Marcin Kus

Najładniejszy wieniec

W dniu 5 września 2010 r. w Radomyślu Wielkim w powiecie mieleckim odbył się XV Podkarpacki Konkurs Wieńca Dożynkowego, w którym m.in. uczestniczył Zespół „Mazurzanie”, który reprezentował gminę Raniżów. Pokazał on wieniec w kategorii „inne formy”, był to piękny dzban wykonany z kłosów zbóż i wypełniony kwiatami.



„Deszczowy konkurs” wieńców na Rynku w Radomyślu Wielkim.

Konkurs odbywał się w strugach deszczu i przy niskiej temperaturze. Dlatego też przeniesiono go ze stadionu na Rynek. Nie było korowodu ani prezentacji wieńców. Uczestnicy zabezpieczali wieńce przykrywając je foliami, parasolami i workami, dlatego były widoczne tylko dla niewielkiej grupy zapalonych wielbicieli tego święta.

Jurorzy po obejrzeniu przeszło 80 wieńców dożynkowych (3 kategorie: wieniec tradycyjny, wieniec religijny oraz inne formy wieńca) przyznało nagrody i wyróżnienia.

Zespół Obrzędowy „Mazurzanie” za wspomniany wyżej wieniec otrzymał I nagrodę w kategorii „inne formy”.

Gratulujemy wygranej!



Nagrodzony wieniec.

Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny w Woli Raniżowskiej - 2010

Wniebowzięcie NMP jest dogmatem Kościoła ogłoszonym przez papieża Piusa XII, to oznacza, że Maryja matka Jezusa Chrystusa została z ciałem i duszą wzięta do nieba. Dogmat ten stwierdza, że po zakończeniu swojego ziemskiego życia Najświętsza Maryja Panna została z ciałem i duszą wzięta do wiecznej chwały. Według teologii katolickiej Jezus Chrystus własną mocą wstąpił do nieba, Najświętsza Maryja Panna mocą Bożą została wzięta do nieba.

Patronka ziemi i życia

W Polsce czci się Matkę Boską Wniebowziętą jako patronkę ziemi i jej bujnej roślinności. W niektórych rejonach Polski w czasie obrzędów religijnych związanych z tym świętem błogosławi się wiązanki kwiatów, kiedyś ten zwyczaj był bardzo popularny. Wierzono, że taki



Ks. Stanisław Kata poświęca ziola.

bukiet nabiera cudownych, leczniczych właściwości. Podczas powrotu z kościoła zostawiano go wśród upraw gdzie miał przynieść szczęście w zbiorach po czym, po kilku dniach, zabierano go do domu. Był przechowywany bardzo pieczołowicie, okadzano nim izbę, trzymano w miejscu które było widoczne i dawało pewność, że moc bukietu będzie działała.

Pielgrzymowanie do domu Ojca

W kościele parafialnym pw. Św. Wojciecha w Woli Raniżowskiej głównym elementem obchodów uroczystości Wniebowzięcia NMP, była uroczysta Msza święta, którą odprawili: proboszcz parafii ks. prałat Eugeniusz Worsa i pochodzący z Woli Raniżowskiej ks. Stanisław Kata, który odwiedził rodzinną parafię. Homilię pt. „Pielgrzymowanie do domu Ojca” wygłosił ks. prałat Eugeniusz Worsa. - „W Polsce w miesiącu lipcu i sierpniu „wszystkie drogi prowadzą na Jasną Górę” - rozpoczął ks. prałat E. Worsa. - W tych dniach Pielgrzymi przemierzają cały kraj i każdy z nich niesie swoje intencje. Pielgrzymi są, też dla nas wyraznym przypomnieniem, że nie jesteśmy tu na ziemi na stałe, ale wszyscy jesteśmy tu tylko pielgrzymami! Wszyscy bierzemy udział w pielgrzymce życia! A życie każdego z nas jest pielgrzymką do domu Ojca! Od dnia naszych narodzin, aż po ostatni dzień pobytu na ziemi jesteśmy w drodze – Pielgrzymujemy! (...) Na czele tej pielgrzymki świętych i błogosławionych kroczy Maryja nazywana Matką Pielgrzymującego Kościoła, a dziś czczona przez nas jako Wniebowzięta, bo jest w domu Ojca, w niebie – głosił ks. prałat Worsa.

W czasie tej Mszy św. modlono się w intencji parafian, Ojczyzny (w 90. rocznicę „Cudu nad Wisłą”) i całego Kościoła - aby Matka Najświętsza wzięła wszystkich w swoją opiekę. Całą uroczystość zakończyło odśpiewanie Apelu Jasnogórskiego.

Dariusz Sobolewski

Wola Raniżowska podczas II wojny światowej (1939-1944)

W pierwszych dniach września 1939 r. przechodziły przez Wólę Raniżowską rozbite i zdeorganizowane oddziały wojskowe, które już w drodze zaczęły się mocno wykruszać, a nawet i rozwiązywać. W dniu 8 września 1939 roku wkroczyły do miejscowości oddziały niemieckiego Wehrmachtu i rozpoczęła się hitlerowska okupacja, trwająca do 4 lipca 1944 roku. Rządy we wsi, jak również w Zbiorowej Gminie Raniżów przechwyciła grupka „folksdojczów” potomków dawnych kolonistów niemieckich. Utworzyli oni uzbrojony oddział o nazwie „Milicji Porządkowej”, na wójta gminy wybierali zdecydowanego hitlerowca – nauczyciela i pastora przy zbiorze ewangelickim w niemieckiej kolonii w Raniżowie nazwiskiem Alfons Schmalemborg. Odpowiadających ich wymaganiom sołtysów wsi pozostawili tymczasowo na stanowiskach. Folksdojczycy zaczęli stosować rządy twardej ręki, twierdząc, że jest to odpłata za dwadzieścia lat ich „niewoli” w Niepodległej Polsce.

Przymusowe kontyngenty

W trzeciej dekadzie września 1939 r. zaczęły podążać na zachód grupki uchodźców – nie tak liczne, jak szły na wschód – oraz zmobilizowani na wojnę mężczyźni z Woli Raniżowskiej. Z tych, którzy poszli nie powróciło wielu, ponieważ dostali się do niewoli niemieckiej, a częściowo do rosyjskiej, kilku przedostało się na „Zachód”, gdzie walczyli w polskich formacjach wojskowych. W następnym roku rozpoczęła się wysyłka ludzi na roboty przymusowe do Niemiec. Początkowo przez wyznaczanie odpowiednich kontyngentów, następnie przez stosowanie „łapanek”. Młodzież męska powoływana była do tzw. służby budowlanej (Baudienst), gdzie za przekroczenie obowiązujących przepisów stosowano karę śmierci. Pomocy gestapo i żandarmerii przy wyłapywaniu ludzi udzielała powołana do służby policja granatowa złożona z Polaków pod dowództwem niemieckim. Milicję z folksdojczów zlikwidowano. Utrapieniem dla ludności były wysokie kontyngenty dostawy zbóż oraz zwierząt rzeźnych dla wojska-okupanta. W tym celu powołano komisję kontyngentową, w której skład zwykle wchodził: wójt, właściciel ziemski, kierownik szkoły, sołtys i inni przedstawiciele lokalnej władzy. Za nieodstawienie kontyngentu, tak jak za sabotaż groziła kara śmierci, a w najlepszym razie wysłanie do obozu koncentracyjnego.

Bierny opór

Zastosowano przymusowy przemiał zboża w młynach, za pobierane tamże odsypy w naturze. Prywatne żarna do przemiału na własny użytek, likwidowano bezwzględnie. W tym czasie dawała się również we znaki przymusowa wywózka drzewa z lasów, które wyrąbywani masowo. Folksdojczycy z urzędu gminnego nie przebiegali w środkach, przy cichej zgodzie sołtysa wsi oraz skutecznej pomocy ze strony „policji granatowej”. Ludność Woli Raniżowskiej zaczęła stosować bierny opór, co wywołało ze strony władz okupacyjnych represje. Pobrano zakładników, których osadzono w obozie karnym na terenie Pustkowie. Kilku nie powróciło nigdy, - m.in. Michał Kobylarz i Józef Iskra. Folksdojczycy z gminy i powiatu zakwalifikowali wieś jako oporną i niebezpieczną, dlatego w początkach 1941 roku zaczęto myśleć o wysiedleniu mieszkańców.

Wysiedlenie wsi

Jesienią 1941 roku ogłoszono wysiedlenie Woli Raniżowskiej, która wraz z przysiółkami Poręby Wolskie i Stece była największą wsią w powiecie kolbuszowskim liczącą ok. 4 tys. mieszkańców i ponad 600 numerów zabudowań. Mieszkańcy, którym oferowano po 100 zł. odszkodowania – oferty lekceważyli, wyjątkowo biedni brali tę kwotę. Mimo zakazu mieszkańcy nadal wykonywali bie-

żące prace polowe, pola zasiewali oziminami, a na wiosnę kontynuowali prace siejąc zboże jare i sadząc ziemniaki. Władze folksdojczów nie mogąc złamać zdecydowanego oporu ludności – zarządzają spalenie wsi.

Podpalenie wsi

W dniu 12 maja 1942 roku, ekipa zebranych podpalaczy członków tzw. „Sonnderdienstu” spaliła doszczętnie przysiółki: Stece i Poręby Wolskie, oraz dwa budynki na przeciwległych krańcach wsi, od zachodu i wschodu. Mieszkańcy Woli przerażeni olbrzymim zamieszaniem i niebezpieczeństwem - w dwóch następnych dniach opuścili całkowicie swoje domostwa.

Ludzie zabierali ze sobą tylko inwentarz żywy, ważniejsze mienie ruchome i trochę żywności, pozostawiając resztę na całkowite wyniszczenie. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie strażów karabinowych, dźwięków rozbijanych okien, wyrzucanych drzwi i rozdzieranych pieców w domach mieszkalnych. Wykonywała to ekipa remontowo-budowlana składająca się z mieszkańców Raniżowa. Budynki mieszkalne i gospodarcze były następnie rozbierane na materiał budowlany, zaś starsze przeznaczone zostały na opał. Wysiedlonych mieszkańców rozpedzono, na „cztery strony świata”, nie interesując się z nimi zupełnie. Okupant nie wyznaczał miejscowości i domów, do których należało się przenosić, lecz każdy szukał przytułku na własną rękę, u krewnych czy znajomych, mieszkających w sąsiednich miejscowościach: Raniżowie, Staniszewskim, Zielonce, Mazurach, Lipnicy, Dzikowcu, Pogwizdowie, Hucisku, Przewrotnem, Kupnie, Trzebosi, Nienadówce, Mechowcu, itd. A więc niedaleko Woli Raniżowskiej, by być jak najbliżej swojego dorobku życia. Wieś uległa całkowitemu zniszczeniu, a opuszczone tereny wraz z innymi sołectwami weszły w skład terytorium poligonu ćwiczebnego „Luftwaffe” w Górnem. Pełna nazwa Gemeinde Gorno lub Truppenübungsplatz Luftwaffe. Zaznaczyć trzeba, że pozostałe wsie z gminy Raniżów, tj. Raniżów, Staniszewskie, Zielonka i częściowo Mazury, pomimo zabrania im terenu - nie zostały wysiedlone.

Poligon na terenie wsi

Urząd Gminy przeniesiono z Raniżowa do Górna, pozostawiając tylko sołtysów wsi. Zajęty teren zajmował kilka tysięcy hektarów i podlegał bezpośrednio komendanturze wojskowej (SS, Luftwaffe, Wehrmacht). Zarząd wojskowy utworzył specjalne oddziały uzbrojonej służby patrolowej, które patrolowały zajęte tereny, legitymowały mieszkańców, a do pojawiających się „nieprawnie” osób strzelano bezlitośnie, raniąc i zabijając ludzi. Schwytych wywożono na roboty przymusowe do Niemiec, lub kierowano do obozów pracy (łagrów) czy więzień. W ten sposób na polach Woli Raniżowskiej zginęło kilka osób, kilkanaście nie powróciło z obozów pracy przymusowej. Np. tragicznie zakończył się przypadek zatrzymania 18-letniego chłopca Michała Bajka z Woli Raniżowskiej w „Zawiasach” na Pozdoci. Relacje ustne starszych mieszkańców z miejscowości pozwalają ustalić taki oto bieg wydarzeń: Patrolujący pola Niemiec zauważył, jak kilka osób „podkrađa” plony. Podjechał bliżej, rozeznał sytuację, a gdy próbował strzelić - został rozbrojony przez Michała Bajka. Bojąc się o swoje życie Niemiec, zaczął go prosić o zlitowanie i obiecując, że jak odda broń, zapomni o sprawie i puści go wolno. Jednak tak się nie stało. Michał oddał broń, a hitlerowiec oddał z niej strzał do niego.

Przymusowa praca

Wysiedlona ludność zgłaszała się do pracy na naszych terenach, lub w pobliskiej okolicy – z konieczności, ponieważ niezbędne było to do utrzymania się przy życiu, przy tym licząc po cichu, że taki

stan nie potrwa zbyt długo. Do pracy przyjmowano wszystkich, za wyjątkiem nieletnich i podeszłych wiekiem. Chociaż, często zdawało się, że do pracy przyjmowano młodzież, poniżej 21 roku życia. - Miałam 14 lat, jak musiałam pójść pracować. Skierowali mnie do roboty przy budowie dróg, w okolicy Dęby. Gdzie pracowałam na tygodniu w godzinach od 7 do 16 i w sobotę do 13. Zapłatą za pracę był głównie prowiant – bochenek chleba, trochę marmolady i kostka margaryny - na tydzień i to nie zawsze – wspomina swoją pracę za czasów okupacji Olga Raczek (z d. Puzio), wtedy mieszkająca w Starym Rusinowie. Część wysiedleńców została zatrudniona w gospodarstwie w Lipnicy, natomiast większa część w Raniżowie. Tereny Woli Raniżowskiej podzielono pomiędzy obydwie gospodarstwa. Gospodarstwa te obejmowały po ok. 5 tys. hektarów, a na ich czele stał Zarząd, składający się z administratorów posiadających wyższe wykształcenie rolnicze. Wynagrodzenie za pracę kształtowało się w ustalonych odgórnie granicach, w stosunku: 75 złotych okupacyjnych miesięcznie plus „Kasa Chorych” oraz nieodpłatna pomoc lekarska. Robotnik posiadający rodzinę na utrzymaniu, otrzymywał dodatkowo działkę gruntową o powierzchni 50 arów, którą mógł użytkować według swego uznania. Wolno było utrzymywać jedną krowę, dla której przydzielono trochę siana i słomy na okres zimowy. Każdy robotnik po przepracowaniu jednego roku – otrzymywał dodatkowo 150 kg zboża, jako deputat oraz trochę opału na zimę. O mieszkaniu dla robotników nie troszczono się wcale. Mieszkali kątem przy mieszkańcach niewysiedlonych wsi. Obsiane i obsadzone przed wysiedleniem grunty zostały zebrane, a plony zwiezione do wspólnych stogów. Następnie przy pomocy pługów parowych i traktorowych przeorano w poprzek chłopskie pola, niszcząc wszelkie miedze i znaki graniczne. Przygotowano ziemię do zasiewów jesiennych. Część pól przeorano i zasiano, resztę pozostawiono do następnego roku. Z przyjętych do pracy robotników, zorganizowano brygady robocze oraz budowlane i rzemieślnicze. Każda brygada miała „przodownika”, tj. „Forbaitera”, znającego język niemiecki i odpowiedzialnego za swoją brygadę, liczącą niejednokrotnie po kilkadziesiąt ludzi. Nadzór sprawowali „Inspektorzy” jeżdżący konno, byli oni przeważnie narodowości niemieckiej, niezdolni do służby wojskowej. Uzbrojeni w krótką broń palną oraz w specjalne rzemieńne baty (nahaje), którymi bili do krwi pracujących, ich zdaniem niechętnie robotników. Dla usprawnienia prac polowych sprowadzono kilkadziesiąt traktorów, przeważnie gąsienicowych oraz całą masę maszyn rolniczych, o nieznanym niejednokrotnie przeznaczeniu. Ciężkie prace polowe wykonywali najczęściej mechanicznie, przy użyciu odpowiedniej siły pociągowej: traktorów, koni czy wołów, stosownie do zaistniałych potrzeb czy warunków upraw. Obsługę traktorów i maszyn rolniczych wykonywała specjalna brygada robotników, pod nadzorem

specjalisty „Maszynmajstra”. Zajęte grunty objęto uprawą, nawożeniem i zasiewami. A jednak... cały ten wysiłek okazał się nierenowny. Prace uprawne wykonywane były niedbale. Nawozy sztuczne oraz zboże do siewu rozkradano, a zasiane pola zarastały perzem i chwastami, efektem czego zebrane plony nie zwracały często wysiewanego nasienia. Ten stan rzeczy przetrwał do chwili wyzwolenia spod niemieckiej okupacji.

W dniach 24-27 lipca 1944 roku przeszedł przez wieś front rosyjski, oczyszczając teren z pozostałych wojsk niemieckich. Wysiedlona ludność zaczęła powracać „na swoje”, do miejsc zamieszkania.

**Artykuł napisany został na podstawie manuskryptu Jana Chrzastka „Złota Księga Wola Raniżowska 1366-1966”, a także relacji ustnych starszych mieszkańców z Woli Raniżowskiej, w tym: Olgi Raczek, Julii Rzeszutek, Antoniego i Stefani Marutów.*

Dariusz Sobolewski

Dni Ks. Kardynała Kozłowieckiego

W niedzielę, 3 października w kościele parafialnym p/w Św. Wojciecha w Woli Raniżowskiej odbyła się uroczysta Msza św. w ramach obchodów III edycji Dni Księdza Kardynała Adama Kozłowieckiego. Głównym organizatorem uroczystości była Fundacja im. Księdza Kardynała Adama Kozłowieckiego „Serce bez granic”.



Pamiątkowe zdjęcie z obchodów Dni Księdza Kardynała Adama Kozłowieckiego w Woli Raniżowskiej.

Świątynia w Woli Raniżowskiej stała się miejscem ostatniego dnia obchodów tegorocznych dni poświęconych kardynałowi Kozłowieckiemu. Uroczystej sumie przewodniczył ks. Aleksander Aoudi Golike z diecezji Doumé – Abong – Mbang we wschodnim Kamerunie. Na Mszy świętej, oprócz licznie przybyłych wiernych, znaleźli się także goście spoza wolskiej parafii m.in. Bogdan Romaniuk – Radny Sejmiku Wojewódzkiego i wiceprezes Fundacji im. Księdza Kardynała Adama Kozłowieckiego, sekretarz Fundacji i Radny Powiatowy – Dariusz Bździkot. W czasie tej Mszy św. kazanie okolicznościowe wygłosił ks. Aleksander, w którym podziękował całej wspólnotie parafialnej, a zwłaszcza rodzinie ks. bpa Jana Ozgi za dzieło kościoła misyjnego na ziemi kameruńskiej.

Wszyscy, którzy przybyli na niedzielną uroczystość mogli obejrzeć wystawę fotograficzną poświęconą życiu i działalności kardynała Adama Kozłowieckiego.

Dariusz Sobolewski



Korespondencja Jana Salka, przebywającego w Oslagu Stalag XIII A z rodziną. Dokument w posiadaniu rodziny Salek z Woli Raniżowskiej.

Mazurzenie, którzy z mundurem związali swoje życie

Major Tadeusz Sondej



Mjr dr inż. Tadeusz Sondej urodził się 16 czerwca 1972 roku w Sokołowie Małopolskim. Pochodzi w wielodzietnej rodzinie z Mazurów. Rodzice, Krystyna i Marian, byli dla niego wymagający, ale też dawali swobodę do uczenia się i rozwijania własnych zainteresowań. Już jako mały chłopiec lubił majsterkować i interesował się elektroniką.

Szkolę podstawową ukończył w Mazurach, gdzie otrzymał solidne podstawy, zwłaszcza w zakresie matematyki. W dużym stopniu przyczyniła się do tego Pani mgr Helena Grochala. Następnie rozpoczął naukę w Technikum Elektryczno-Mechanicznym w Rzeszowie na specjalności elektronika ogólna. Wysoki poziom nauczania w technikum pozwolił mu zdobyć obszerną wiedzę i jednoznacznie ukształtować zainteresowania. W 1992 roku zdał maturę, a następnie egzaminy wstępne do Wojskowej Akademii Technicznej (WAT) w Warszawie. Służbę wojskową w charakterze kandydata na żołnierza zawodowego rozpoczął 31 lipca 1992 roku na Wydziale Elektroniki.

Studia w WAT okazały się dużym wyzwaniem. Oprócz typowych zajęć politechnicznych równolegle prowadzone były zajęcia ogólnowojskowe oraz poligonowe. Jedynym dniem wolnym w ciągu całego tygodnia była niedziela. Jednak zdobyta w dzieciństwie samodzielność i wytrwałość w trudnych warunkach pozwoliły mu wyróżniająco przejść przez cały okres studiów. Wielokrotnie był nagradzany za dobre wyniki w nauce. W 1996 roku został mianowany na stopień podporucznika w korpusie osobowym łączności. W 1997 roku ukończył studia i obronił z wyróżnieniem pracę dyplomową, uzyskując tytuł magistra inżyniera elektroniki. W konkursie Rektora WAT na najlepszą pracę dyplomową zajął III miejsce. Dzięki wysokim wynikom w nauce otrzymał propozycję pracy w WAT, w charakterze żołnierza zawodowego i nauczyciela akademickiego.



Promocja oficerska.



Krystyna i Marian Sondejowie.

Bezpośrednio po studiach został skierowany do pełnienia dalszej służby wojskowej w Instytucie Systemów Łączności Wydziału Elektroniki WAT. W latach 1997/1998, w ramach praktyki podstawowej, został oddelegowany do batalionu podchorążych Wydziału Elektroniki WAT, na stanowisko dowódcy plutonu. Po powrocie do Instytutu pracował na stanowisku inżyniera w Zakładzie Techniki Cyfrowej (ZTC). W roku 1999 został przeniesiony na stanowisko asystenta zespołu pracowników naukowo-dydaktycznych. Od początku pracy w ZTC blisko współpracuje z prof. dr. hab. inż. Ryszardem Pełką, który od kilku lat jest kierownikiem Zakładu Techniki Cyfrowej. Warto dodać, że po kilku latach współpracy, okazało się, że prof. Ryszard Pełka pochodzi z Rzeszowa i jest w pewien sposób związany także z Raniżowem. Współpraca z prof. Pełką pozwoliła mjr. Sondejowi rozwijać się w zakresie dydaktycznym i naukowym. Stawiane wymagania i motywacja uwieńczona została uzyskaniem w roku 2004 stopnia naukowego doktora nauk technicznych. Od tego czasu zajmuje stanowisko adiunkta naukowo-dydaktycznego.

Od początku pracy w WAT mjr Tadeusz Sondej bierze udział w procesie dydaktycznym. Prowadzi liczne zajęcia ze studentami z przedmiotów związanych z elektroniką. Opiekuje się sekcją Koła Naukowego Elektroników, prowadzi studentów indywidualnych oraz kieruje pracami dyplomowymi. Osiągnięcia jego studentów zdobywały uznanie w kraju i zagranicą. Oprócz działalności dydaktycznej mjr Sondej aktywnie uczestniczy w pracach naukowo-badawczych prowadzonych na rzecz Sił Zbrojnych RP i gospodarki. Jego prace dotyczą głównie zastosowania nowoczesnych, cyfrowych układów elektronicznych w sprzęcie łączności i urządzeniach pomiarowych. Współpracuje z wieloma ośrodkami naukowo-badawczymi i wdrożeniowymi. Za swoją pracę był dotychczas trzykrotnie nagradzany:

por. T. Sondej, 04.07.2003 r., Brązowy medal „Za zasługi dla obronności kraju”

kpt. T. Sondej, 28.07.2004 r., Brązowy medal „Siły zbrojne z służbie ojczyźnie”

mjr T. Sondej, 29.07.2008 r., Srebrny medal „Za zasługi dla obronności kraju”

Stopnie wojskowe otrzymywał w następującym czasie:

22.06.1996 r., podporucznik, promocja na I stopień oficerski ze stopnia sierżant sztabowy podchorąży

15.08.1999 r., porucznik

15.08.2003 r., kapitan

14.07.2005 r., major

Mjr Tadeusz Sondej na stałe mieszka w Warszawie, jest żonaty i ma dwóch synów. W miarę wolnego czasu chętnie odwiedza rodzinne Mazury.

Opr. Jan Adamczyk

Odszedł Czesiu muzykant...

**Żeby mi tak Pan Bóg dał
By mnie jakiś grajek chciał.
Chleba bym mu uprosiła
Skrzypce bym za nim nosiła.
On by tylko, on by tylko, tylko grał (...)**

(Fragment starej pieśni śpiewanej w Mazurach jeszcze w okresie międzywojennym. Z rękopisu Cz. Popka)

Czas płynie nieubłaganie. Wszystko przemija. Jedni ludzie odchodzą, drudzy się rodzą. I to jest rzecz normalna. Stare odchodzi ustępując miejsca nowemu.

Nie wszystko jednak co stare powinno ulec zapomnieniu, tak jeśli chodzi o wydarzenia jak i o ludzi. Wiele odchodzących osób ze względu na ich ciekawe życie, czy dokonania, zasługuje co najmniej na wspomnienie. Problem jednak w tym, że nie zawsze ma się kto nimi zainteresować i o nich napisać, ot, choćby kilka zdań w prasie lokalnej. I to jest problem dość szeroki, w skali całego naszego kraju.

Będąc ostatnio w Mazurach u mojego kolegi, pasjonata historii tych okolic, nasłuchiwałam się opowieści o dawnych muzykantach: o Żarkowskich z Korczowisk, Gutach z Zielonki, Cebulach z Górna i innych, o bitkach weselnych, ucieczkach grajków z wesel, przygodach grajków z diabłami... Słuchając czułam się tak jak podczas czytania „Muzykantów” Franciszka Kotuli. Oglądałam też zdjęcia dawnych zespołów muzycznych, kapel, z okolic Raniżowa i Kamienia, z lat 20-tych i 30-tych ubiegłego wieku. Całkiem przystojne chłopaki, zazwyczaj przykucają lub leżą ze swymi skrzypcami, basami czy bębnami, klawetami, trąbkami, na pierwszym planie, żeby nie zasłaniać par młodych i gości weselnych. I tak przypadkiem dowiedziałam się, że i tato tego mojego kolegi był muzykantem, grywającym na skrzypcach i na akordeonie, w Mazurach i okolicy, w latach 40-tych i 50-tych ubiegłego wieku. Napisał nawet piękne wspomnienia z czasów tego swojego muzykowania, które leżą w teczce czekając na opracowanie redakcyjne i publikację.

Czesław Poppek, nazywany Cześ Popków lub po prostu Czesiu, urodził się 8 października 1924 roku w Mazurach. Po Stefanii, Michale i Józefie był czwartym i zarazem najmłodszym dzieckiem Marcina i Zofii z domu Gut. Jak każde dziecko wiejskie w tamtym czasie pasał krowy i pomagał rodzicom w gospodarstwie rolnym, całkiem sporym, bo kilkunastohektarowym. Zamiłowania do rolnictwa po ojcach nie odziedziczył. Za to pociągało go granie. Podobnie jak brat Michał lubił sobie podśpiewywać i przygrywać, na byle czym, nawet na własnoręcznie wykonywanych fujarkach, tak zwanych piszczałkach. Ale co to za instrument, fujarka. Marzył o czymś lepszym. Od brata dostał organki, czyli harmonijkę ustną, i na niej wygrywał w polu, przy krowach znane melodie. Ale to jeszcze nie było to, o czym marzył.



Czesław z żoną Adelą i dziećmi – Zenkiem i Witkiem. Obok modny w owym czasie wózek dziecięcy. Połowa lat 50 – tych.

Kolega ze Starego Nartu – Stanisław Tkaczyk, mieszkający w okresie okupacji w Mazurach jako przesiedlony, grający świetnie na skrzypcach, zachęcił Czesia żeby i on się uczył na skrzypcach. Namawiać nie trzeba było. Cześ jakby tylko czekał na ten impuls. Oto jak opisuje we wspomnieniach muzykanckich swoje pierwsze instrumenty:

- Kupiłem sobie takie starsze skrzypce, w Kamieniu u Franka Partyki, takie wysłużone, bez strun. Staszek mi je wyszukiwał, wytłumaczył co do czego i zacząłem się uczyć grać.

Po jakimś czasie kierownik Szkoły Podstawowej w Mazurach Władysław Woliński zachęcił mnie, żeby się nauczyć grać z nut, nie ze słuchu, bo nuty to jest podstawa do grania. I że będzie mi udzielał lekcji. Więc ja, Franek Stolarz i Kuba Gut chodziliśmy się uczyć. Płaciliśmy mu żywnością, którą trudno było wtedy kupić. Po jakimś czasie zarzuciłem granie na skrzypcach, ponieważ wychodziły już z mody. Weszły harmonie i akordeony. Kupiłem sobie starą harmonię, ale mało na niej grałem bo się często psuła. Szukałem akordeonu. Akordeony były wtedy po wojnie mile widziane. Po jakimś czasie kupiłem starszy akordeon na Hucisku, dałem go do naprawy i to już było to. (...)

Granie w zespole rozpoczął pod koniec okupacji jeszcze „za Niemców”. Mimo zakazu młodzież urządzała po domach różne potańcówki. Grał z Tkaczycami: Staszek Tkaczyk na skrzypcach, trzymał prym, Czesiu na drugich skrzypcach trzymał sekund, Adam Tkaczyk na klawecie, Michał Kaczor na bębnie. Po wyzwoleniu i przeprowadzce Tkaczyków do Starego Nartu Czesiu z Michałem utworzyli własny zespół, mazurski, w składzie: Czesiu – skrzypce, później akordeon, Michał – bęben, później trąbka, Franek Stolarz – skrzypce, Marcin Sondej – bęben. Mieli bogaty repertuar, poczynając od przedwojennych fokstrotów, poprzez znane polki i oberki, kończąc na coraz bardziej popularnych walcach i tangach. Modnym przebojem w owym czasie była „Walentyna”. Grywali na weselach, poprawinach, różnego typu zabawach i potańcówkach oraz z kółkami. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych był to bardzo popularny i ceniony zespół grający w Mazurach, Zielonce, Turce, Posuchach, Korczowiskach, Markowiznie, Turzy i innych wioskach w gminach Raniżów, Sokołów, Kamień. Członkowie tego zespołu są znani i wspominani do dnia dzisiejszego. Ale już tylko przez odchodzące, najstarsze pokolenie.

Wyjazdy Franciszka Stolarza pierw do internatu szkoły rolniczej w Weryni, potem na stałe do Gdyni, oraz wyjazdy Czesława Popka do pracy w PGR koło Słupska, następnie do szkoły budowlanej w Świdnicy zachwiały losem zespołu.

W 1953 roku Czesiu powrócił jednak do Mazurów, ożenił się z Adelą Dworak z Huciska i przejął gospodarstwo rolne od rodziców. Mimo iż ciągle marzył o powrocie do miasta to jednak zaistniałe okoliczności rodzinne zmusiły go do pozostania w Mazurach. Gospodarzył jak potrafił i jak pozwalało mu zdrowie, mocno nadszarpnięte w okresie okupacji podczas niewolniczej pracy w niemieckim obozie pracy dla młodzieży, tzw. „baudienscie” w Wólce Pelkińskiej k. Jarosławia. Wspólnie z żoną wychowywał troje dzieci – Zenona, Wiktora i Benedykta. Dochowywał rodziców – Marcina i Zofię. I grał od czasu do czasu, z kolegami, Michałem, Marcinem i doraźnie z innymi. W graniu topił swoją tęsknotę za miejskim światem i za żyjącymi w tym świecie wieloma kolegami. Choroby nabyte za okupacji, zwłaszcza uszkodzone we wspomnianym baudienscie lewa ręka i ramię coraz częściej dawały znać o sobie. Powodowały coraz dłuższe przerwy w graniu. Grywał coraz rzadziej. Już tylko z kolegą Michałem, lub sam, na imieninach, choinkach dla dzieci i star-

cd. na str: 18

cd. ze str. 17

szych, na chrzcinach. Ale w domu – jak pamiętają jego najbliżsi – cały czas coś sobie nucił, coś niby grał.

- Wejście na scenę gitar i organów elektrycznych, adapterów, magnetofonów – kończy swoje wspomnienia z 1985 roku pan Czesław – usunęło starych muzykantów w cień. Mniejsze, słabsze zespoły zaczęły się rozpadać. Dawne instrumenty przestały być modne. Dawne kawałki przestarzałe. Obecnie, czasem ktoś mnie wyciągnie siłą do grania na chrzcinach czy imieninach. Ale już nie chcę. Nie mogę wypić. Trudno mi się opędzić od namawiania, od różnych pijaków. Czasem biorę akordeon i gram tylko dla siebie. Wtedy jak nikogo nie ma i nikt nie słyszy. Przypominają mi się czasy młodości. Kiedyś była to dla mnie jedyna rozrywka, w tamtym trudnym życiu na wsi. Jest co wspominać.



Zespół w pełnym składzie. Od lewej: Marcin Sondej – bęben, Michał Kaczor – trąbka, Czesław Popek – akordeon, Franciszek Stolarz – skrzypce. Koniec lat 40 - tych.

Pragnął, aby któryś z jego synów przejął po nim granie, na jakimkolwiek instrumencie. Zachęcał do nauki grania na swym akordeonie. Żaden z nich jednak nie wykazywał szczególnych uzdolnień w tym kierunku, ani zainteresowań. Jedynie najmłodszy, Benedykt, opanował w jakimś stopniu grę na akordeonie. Przejął po nim akordeon i przygrywa sobie czasem polki, oberki, polonezy i co łatwiejsze utwory muzyki poważnej. Odziedziczył po ojcu jednak duszę artysty, która ujawniła się w talencie rzeźbiarskim. Czesław gdy tylko to zauważył zrobił wszystko

co mógł by rozwijać jego talent i kształcić go w tym kierunku. Dziś pan Benedykt jest artystą rzeźbiarzem, autorem wielu dzieł sztuki znajdujących się w obiektach użyteczności publicznej, w kościołach, kaplicach jak i prywatnych domach.

Czesław Popek do miasta już nigdy nie wrócił. Z żoną Adelką dochował rodziców, wychował dzieci, rozdysonował na nich swój majątek i dożył spokojnej starości. Doczekał się czterech wnuczek, trzech wnuków, trzech prawnuków i jedną prawnuczkę. W jego chorobach i nieomaganiach opieką otoczyli go najbliżsi – żona, synowa i syn – zamieszkałi na ojcowiźnie. Dożył 86 lat. Odszedł 20 września br. Pochowany został na cmentarzu w Mazurach, przy swoich rodzicach, tuż obok swego lasu, który sadził „za Niemców”, przy drodze – „Wygonie” po którym codziennie jeździł na swoje pole. Żegnali go najbliżsi, sąsiedzi, dalsi krewni z Mazurów, Huciska, Rzeszowa i Kujaw, koleżanki, koledzy, wśród nich Michał Kaczor i Stanisław Smolak. Także przyjaciele jego synów i ich rodzin, w tym samorządowcy, nauczyciele Szkoły Podstawowej w Mazurach, przedstawiciele Towarzystwa Rozwoju Wsi Mazury i GS „Samopomoc Chłopska” z Raniżowa. Uroczystej Mszy świętej pogrzebowej przewodniczył jego krewny ksiądz infułat Józef Sondej z Rzeszowa, któremu asystowali - również krewny ks. prałat Józef Łasica z Raniżowa oraz ks. kanonik Franciszek Kołodziej z Rzeszowa i ks. proboszcz Wiesław Dopart z Mazurów.



Z kolegą Michałem Kaczorem wspominają granie. Pan Michał swoje trąbki przechowuje w domu do dnia dzisiejszego. I pewnie jeszcze pogrywa na nich czasem jak nikt nie słucha. Lata 80 – te.

Agnieszka Sondej (Rzeszów)

PS. Dziękuję panu B. Popkowi i jego rodzinie za udostępnienie wspomnień muzykanckich ojca oraz fotografii rodzinnych.

Gdy rak zagląda w oczy...

Podaruj Kalince nadzieję i włącz się do akcji!

Gdyby Kalinka Janowska z Tarnowa potrafiła mówić, powiedziałaby...

Mam na imię Kalina. Urodziłam się w lutym 2010 roku. Zaczynam życie. Mam dwóch wspaniałych braci i kochających mnie rodziców. Mam też raka...

Gdy lekarze zdiagnozowali u mnie tę chorobę w oczach moich rodziców pojawił się strach i lzy. Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko. Szpital, kroplówki, pokłute ręce i nogi, narkozy, vascuport, cewnik, głód, strach, ból, krzyk innych dzieci. Swoją pokój i własne łóżeczko zamieniłam na szpital bez terminu wyjścia na zawsze.



Lekarze mówią, że mogę nie widzieć, mówią że mogę stracić oczy. A ja chciałabym zobaczyć to, co wszyscy, świat pełen kolorów, uśmiechy rodziców i braci, słońce i księżyc, gwiazdy na niebie przy ognisku, bieszczańskie poloniny i kwiaty, może nawet te od mojego chłopaka.

Rak to trudna choroba, ale postanowiłam walczyć. Proszę, pomóż mi z nią zwyciężyć.

Gdy Kalinka miała 4 miesiące lekarze zdiagnozowali u niej raka obydwójga oczu – siatkówczaka. Dziewczynka przeszła już 4 chemioterapie w Krakowie. Polscy lekarze zdecydowali o usunięciu lewego oczka Kalince i leczeniu prawego. Rodzice uparli się i znaleźli szansę, by uratować oboje oczu córeczki. Tą szansą są dwie kliniki – w Essen i Londynie. Niestety to ogromne koszty. Niemiecka klinika wyznaczyła konsultacje na 4 i 5 października, szacując wstępne koszty leczenia na 15 tysięcy euro. Jeżeli leczenie nie przyniesie efektów, Kalinka ma szansę w londyńskiej klinice, gdzie tamtejsi lekarze stosują nowatorską metodę walki z siatkówczakiem. Niestety koszt leczenia jednego oczka to aż 25 tysięcy funtów.

Można pomóc Kalince wpłacając pieniądze na konto prowadzone przez Fundację Dzieciom „Zdażyć z pomocą” – nr 41 1240 1037 1111 0010 1321 9362. Koniecznie z dopiskiem „Na leczenie Kaliny Janowskiej”.

24-go października tj. niedziela odbędzie się zbiórka do puszek przed Kościołem w Raniżowie na leczenie Kalinki. Zbiórkę przeprowadzi młodzież licealna i studenci z Raniżowa.

Więcej informacji o Kalinie można uzyskać na stronach:

<http://kalinajanowska.pl/>

oraz <http://kalinajanowska.blog.onet.pl/>

Fragmenty w tekście zaczerpnięto ze strony

<http://kalinajanowska.pl/>

Ku pamięci mojego brata Grzegorza

„Kiedy odchodzą na zawsze Ci, których kochamy.”

Pisanie o bólu spowodowanym utratą Kochanej Osoby jest zadaniem bardzo trudnym. Trzeba mówić o intymnych obszarach własnego życia. Oznacza to przywoływanie cierpienia. Ciężko jest pogodzić się ze stratą kogoś bardzo kochanego, z nieszczęściem, które waży na całym życiu.

„Cierpienie jest jak tłuszcz. Rozlany może płamić”

Moja rodzina utraciła Kogoś Najdroższego, Najukochańszego i próbuje się z tym bólem uporać. Mój brat Grzegorz w chwili niespodziewanej śmierci miał zaledwie 29 lat. Urodził się 14 marca 1981 w Kolbuszowej. Wychowywał się w rodzinie pełnej miłości i zrozumienia dla siebie i potrzeb drugiego człowieka. Myślę, że to zaowocowało w późniejszym okresie jego życia. Ukończył szkołę podstawową i liceum w Sokołowie Młp. Ożenił się 6 lat temu z Jolą -wielką miłością swojego życia. Ślubu udzielił im nasz kuzyn ks. Czesław Matuła, który również wygłosił wzruszającą homilię na mszy pogrzebowej. Bóg obdarzył go dwiema córeczkami. Maja ma 3 latka, a Martynka 11 miesięcy. Zawsze był radosny, uśmiechnięty, zadowolony z życia, chętnie służył pomocą drugiemu człowiekowi. To przykładowy mąż i ojciec. Bardzo kochał swoją żonę i ją szanował, uwielbiał swoje pociechy. Do rodziców odnosił się zawsze z największym szacunkiem. Dla nas młodszych braci był wzorem do naśladowania. Śmierć zaskoczyła go nagle, we śnie, przyszła niespodziewanie w najmniej odpowiednim momencie. Trudno pogodzić się z tą myślą, patrząc na młodą wdowę, osierocone dzieci, zrozpaczonych rodziców. Jednak grób na sokołowskim cmentarzu tonący w kwiatkach, wiązkach, świecach mówi nam, że to jednak straszna prawda.

Kochany Bracie – wspominając nasze dzieciństwo, młodość, jest mi przykro, że to wszystko już minęło. Nasze drogi się rozeszły, ja wyjechałem do USA, Ty cieszyłeś się szczęściem małżeńskim i rodzinnym. Teraz uświadamiam sobie, jakim byłeś dobrym Człowiekiem, Przyjacielem, Synem, Bratem, Wnukiem i Kuzy-nem. Nie zdążyłem Ci powiedzieć, jak bardzo Cię Kocham. Kochany Grzesiu, mówię Ci to teraz – Kocham Cię – byłeś dla mnie wszystkim, moje życie w tej chwili straciło sens.

„Nasze plany i nadzieje coś niweczy raz po raz” – tak śpiewano Ci w Kościele. Miałeś wiele planów życiowych dotyczących modernizacji domu, szczęścia rodziny. Pięciu Księży uczestniczyło w Twojej mszy pogrzebowej. Kto był świadkiem tego wydarzenia, wie ilu ludzi przyszło pożegnać Cię, ilu przyjęło Komunię Św. w Twojej intencji. Ty to wszystko widziałeś – prawda? Widziałeś ból i rozpacz Twojej żony, rodziców, dziadków, cioci, wujka, kuzynek, kuzynów w Polsce i Ameryce. Obiecuję Ci Kochany bracie, że ja wraz z bratem i rodzicami, zaopiekujemy się Twoją osieroconą rodziną. Zostawiłeś po sobie wiele pięknych wspomnień, uczynków, śladów, że przebywałeś na tej ziemi razem z nami.

„Ten odniósł sukces, kto żył dobrze, śmiał się często i kochał mocno, kto cieszył się szacunkiem inteligentnych ludzi, kto znalazł miejsce w świecie i wypełnił swoje zadanie; zostawił świat lepszym niż go zastał, czy to poprzez wyhodowanie piękniejszej odmiany maku, napisanie dobrego wiersza czy uratowanie czyjejś duszy; kto zawsze w pełni doceniał piękno Ziemi i potrafił to wyrazić; kto stale szukał tego, co najlepsze w bliźnich i dawał im to co miał najlepszego; ktoś czyje życie było natchnieniem, a pamięć o nim jest błogosławieństwem.”

Oto cały Ty – bracie Kochany cześć Twojej pamięci. Zniknąłeś nam z oczu, lecz z serca nigdy!

Brat Sławek



Grzegorz Dec – ur. 14.03.1981, zm. 3.08.2010 r. Od 2004 roku prowadził w Raniżowie w Rynku sklep z artykułami przemysłowymi „HEDEL Junior”.

OGŁOSZENIE

Podkarpacki Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Boguchwale informuje rolników z terenu gminy Raniżów, że organizuje kurs chemizacyjny

„WYKONYWANIE ZABIEGÓW OCHRONY ROŚLIN SPRZĘTEM NAZIEMNYM”.

Odbędzie się on w I połowie listopada 2010 r. Zainteresowani rolnicy proszeni są o zapisywanie się do dnia 31 października w Urzędzie Gminy p. nr 12, tel. 172285034 w. 312.

Jednocześnie informuje się, że uzyskane we wcześniejszych latach uprawnienia do wykonywania zabiegów środkami ochrony roślin ważne są przez okres 5 lat. W związku z tym prosi się rolników o sprawdzenie daty ważności ww. uprawnień.

Wszystkim,

którzy w tak bolesnych dla nas chwilach dzielili z nami smutek i żal, okazali wiele serca i życzliwości oraz uczestniczyli we Mszy Św. i ceremonii pogrzebowej naszej

MAMUSI, BABCI I SIOSTRY

ŚP. MARII POMYKAŁA

Serdeczne „Bóg zapłać!”

Składa rodzina

ATESTACJA OPRYSKIWACZY

Podkarpacki Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Boguchwale informuje rolników z terenu gminy Raniżów, że prowadzi zapisy na badanie techniczne opryskiwaczy ciągnikowych, które ważne jest przez okres 3 lat.

MIELEC ZDOBYTY

W środę 29 września nasi najmniejsi piłkarze z „ogniska piłkarskiego” (działającego przy naszym klubie) reprezentowali Raniżów w finałach regionalnych „Turnieju Orlika o Puchar Premiera Donalda Tuska” w Mielcu.

Na miejscu podzielono wszystkie przybyłe drużyny (6 zespołów), na dwie grupy rozgrywkowe. Każda drużyna musiała przystąpić do dwóch spotkań, które były rozgrywane 2×10 min. Raniżów trafił do grupy z Głogowem i Budziwojem, natomiast drugą grupę tworzyli SMS Mielec, Stal Rzeszów i Trzebownik. Reprezentanci Raniżowa sprawili wszystkim wielką niespodziankę i po trudnych meczach zwyciężyli zarówno z Głogowem (2:0), jak i Budziwojem (1:0). Dzięki temu zajęli pierwsze miejsce w swojej grupie i mogli spokojnie oczekiwać na rywala z drugiej grupy.

Grupę II wygrała drużyna SMS Mielec, która w pokonanym polu zostawiła Stal Rzeszów i Trzebownik.

Regulamin rozgrywek stanowił, iż zwycięzcy obu grup walczą w finale, natomiast drużyny zajmujące drugie miejsca w swych grupach po-



Dziewczęca drużyna z SP Raniżów.



Zwycięska drużyna z Woli Raniżowskiej w kat. 1997 - 1998 r.



Zwycięzcy eliminacji gminnych i rejonowych: Piotr Rzesutek, Jakub Grądzki, Mateusz Bąk, Bartosz Kowalski, Patryk Fila, Cezary Ozga, Piotr Iskra, Bartłomiej Kwiecień, Andrzej Szot, Hubert Puzio. Trener – Andrzej Warzocha, opiekun – Tomasz Lis.



Drużyna z Gminnego Gimnazjum w Raniżowie.

walczyć tylko o trzecie miejsce (ostatecznie III lokatę zdobyła Stal Rzeszów). Tak więc młodzi zawodnicy z Raniżowa stanęli przed ogromną szansą wygrania kolejnego już etapu „Turnieju Orlika”. Jak się później okazało spełnili pokładane w nich nadzieje i nie dali się pokonać Mielczanom, zwyciężając ich wynikiem 1:0 !!!

Dzięki tej wiktorii Raniżów będzie reprezentowany w kolejnym etapie rozgrywek - tym razem będzie to szczebel wojewódzki, który rozegrany zostanie 14 października w Kolbuszowej. Już za sam udział w rozgrywkach wojewódzkich naszej drużynie zostaną zwrócone koszty przejazdów, a każdy zawodnik dostanie kompletny strój piłkarski (koszulkę z numerem, spodenki i getry).

Gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów!!!

Więcej o tym turnieju na stronie <http://turniejorlika.pl/>

Przemek Marut



Wakacyjny Turniej

W gorącą niedzielę, 8 sierpnia 2010 roku na ranizowskim Orliku odbył się Wakacyjny Turniej Piłki Nożnej o Puchar Przewodniczącego Rady Gminy. Skierowany był do młodzieży męskiej w wieku powyżej 16 lat. Chęć rozegrania zgłosiło cztery drużyny.



Strzał Stanisława Milczanowskiego i gol dla drużyny „Amelanżtrwa”.



Rafał Ślusarczyk z drużyny Snikery przy piłce.

Robert Stępień odbiera medal i dyplom z rąk przewodniczącego Daniela Fila i dyr. Stanisława Samojednego.



Turniej rozegrano systemem „każdy z każdym”. Najlepszą okazała się drużyna z Ranizowa pod egzotycznie brzmiącą nazwą „Amelanżtrwa”, która pokonała każdego z pozostałych przeciwników. Drugie miejsce zdobyły „Wściekle Psy”, trzecią lokatę uzyskała „FC Wola”, a czwartą „Snikery”. Największą ilością zdobytych bramek i uzyskaniem tytułu „króla strzelców” mógł się pochwalić Emil Boronowicz z drużyny „Amelanżtrwa”. Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji, który był organizatorem tego turnieju, zapewnił uczestnikom poczęstunek w postaci kielbaski z grilla oraz duże ilości napojów chłodzących.

Wszyscy uczestnicy otrzymali pamiątkowe dyplomy i medale, a drużyny puchary. Wręczał je przewodniczący Rady Gminy Ranizów Daniel Fila oraz dyrektor GOKSiR Stanisław Samojedny.

Lasowiackie wesele dla Europy

Liceum Ogólnokształcące w Kolbuszowej od września 2009 roku realizuje projekt Comenius „La ville plurielle” („Nasze miasta – nasz świat”).

Jest to projekt wielojęzyczny (francuski, angielski, włoski), który angażując uczniów liceum pozwala rozwijać ich kompetencje językowe. W dniach 5-9 października 2010r. odbyła się wizyta przedstawicieli szkół partnerskich z Francji, Włoch, Niemiec i Hiszpanii.

W jej ramach w dniu 7 października było poznawanie kultu-



Wejście orszaku weselnego na scenę.



Do tańca dla postronnych zaangażowano również gości z Europy.

ry materialnej i duchowej Lasowiaków i Rzeszowiaków, poprzez zwiedzanie Skansenu. „Wesele lasowiackie” wystawione przez Zespół Obrzędowy Gminy Ranizów („Mazurzenie” „Lesiaki”, „Ranizowanie”) było jednym z punktów poznawania przez młodzież z innych krajów obrzędów i zwyczajów polskich. Ponadto w jednej z chałup walory kulinarne prezentowały panie z zespołu „Mazurzenie”.

Stanisław Samojedny

„Bezmierny nasz dług wdzięczności”

/Konstanty I. Gałczyński/

*Z okazji Dnia Edukacji Narodowej,
wszystkim pracownikom oświaty
z terenu Gminy Ranizów pragnę podziękować
za trud, wyrozumiałość i serce.*

*Dziękuję nauczycielom za dar nauki,
za wspaniałe przewodnictwo na trudnej
drodze zdobywania wiedzy i czynienie jej
bardziej dostępną i zrozumiałą
dla młodego pokolenia.*

*Jednocześnie pragnę życzyć wielu
niezapomnianych i pięknych chwil
w pracy zawodowej, cierpliwości
i wytrwałości oraz słońca,
które rozjaśni każdy dzień*

i pozwoli zapomnieć o kłopotach i troskach.

Daniel Fila

Przewodniczący Rady Gminy Ranizów

Góralskie Dni 2010

W dniu 15 sierpnia 2010 roku Zespół Pieśni i Tańca „Lesiaki” wraz z delegacją z gminy Ranizów uczestniczył w VII edycji Góralskich Dni w Granč-Petrovcach na Słowacji. Zaprezentował słowackiej publiczności tańce narodowe oraz rzeszowskie. Drugi dzień pobytu na słowackiej ziemi przeznaczony był na zwiedzanie Zamku Spiskiego oraz pobyt w aquaparku w Popradzie.



Modernizacja dróg powiatowych Ranizów – Wola Ranizowska – Wilcza Wola

Końcem września 2010 r. rozpoczął się remont drogi powiatowej nr 1204 Ranizów – Wola Ranizowska oraz nr 1205 Wola Ranizowska – Wilcza Wola. W ramach ogłoszonego przetargu wykonawcą robót została firma SKANSKA S. A. Ten długo oczekiwany remont był możliwy dzięki zaangażowaniu radnych Rady Gminy Ranizów. Warto w tym miejscu przypomnieć, iż już w 2008 r. podjęto starania w Starostwie Powiatowym w Kolbuszowej (członek Zarządu Powiatu Mieczysław Burek, Przewodniczący Rady Gminy Daniel Fila oraz radni z Ranizowa i Woli Ranizowskiej) w celu przygotowania dokumentacji na te drogi, a w 2009 r. radni na wniosek Przewodniczącego Rady Gminy Ranizów podjęli uchwałę zabezpieczającą wkład własny gminy w realizację tego zadania.

Nie wszyscy wtedy wierzyli w słuszność tych działań, mimo to się udało. Władze Starostwa Powiatowego w Kolbuszowej złożyły wniosek do Marszałka Województwa Podkarpackiego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego i przy dużej pomocy piosła Zbigniewa Chmielowa otrzymały dofinansowanie na to zadanie. W ramach prowadzonych prac wymieniony zostanie obecnie istniejący krawężnik wraz z nawierzchnią chodników i wjazdami na ul. Rzeszowskiej i Wolskiej w Ranizowie (965 m) oraz powstanie nowy odcinek chodnika od mostu w stronę boru po lewej stronie (225 m).

W ramach tego zadania pn. „Poprawa powiązań komunikacyjnych poprzez modernizację dróg powiatowych na trasie Tarnobrzeg – Rzeszów” położony zostanie nowy dywanik asfaltowy w Woli Ranizowskiej – Wilcza Wola 1 121 m oraz w Ranizów – Wola Ranizowska 4 401 m. W ramach dodatkowego przetargu (na dniach rozstrzygnięcia) nowy dywanik asfaltowy powstanie też na długości ok. 1 450 m pomiędzy Ranizowem a Wolą Ranizowską (od Karwin w stronę Woli) oraz przy moście w Stecach. Zadania te mają być wykonane w tym roku i pozwolą na spięcie całego odcinka dróg Ranizów – Wola Ranizowska – Wilcza Wola, co nie wątpliwie przyczyni się do podniesienia bezpieczeństwa uczestników ruchu oraz będzie cieszyć mieszkańców.

Warto również dodać, iż przy okazji tych inwestycji dzięki zaangażowaniu Rady Parafialnej, Sołtysa z Woli Ranizowskiej i Przewodniczącego Rady Gminy dodatkowo wykonany zostanie parking przed kościołem w Woli Ranizowskiej oraz trwają uzgodnienia co do wykonania parkingu naprzeciwko Ośrodka Zdrowia w Ranizowie.

Marian Pomykała
Przewodniczący Komisji
Rozwoju Gospodarczego i Ochrony Środowiska



„Wieści Ranizowskie” - pismo społeczno-kulturalne. Miesięcznik. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Ranizowie, tel. 17 22 85 703, e-mail: goksir@ranizow.pl Redaguje Zespół. Teksty podpisane odzwierciedlają poglądy autorów. Przedruk dozwolony za zgodą Redakcji lub autora. Adres internetowy: www.ranizow.pl
Oddano do druku 11.10.2010 r. Nakład: 330 szt.

Pierwszaki w Woli Raniżowskiej

Pokaz zdobytej wiedzy i umiejętności przez pierwszoklasistów, ślubowanie uczniowskie, pasowanie na uczniów, poświęcenie nowych zastępów uczniowskich, wręczenie dyplomów i upominków – to wszystko miało miejsce podczas uroczystości „Pasowania na uczniów”, która miała miejsce 7 października br. w Zespole Szkół w Woli Raniżowskiej.

W tym to bowiem dniu pani dyr. Irena Kata przyjęła już oficjalnie w szeregi uczniowskie 17 pierwszoklasistów. Wielkim, kolorowym ołówkiem każdy z nich został pasowany, jak również na pamiątkę tego wydarzenia otrzymał okolicznościowy dyplom. Następnie proboszcz wolski ks. Eugeniusz Worsa poświęcił młodych uczniów. Na zakończenie każde z nich na dobry początek szkolnej nauki otrzymało album i dyplom od Rady Gminy, które wręczył obecny na pasowaniu przewodniczący Daniel Fila.



Bukiet kwiatów otrzymuje ks. Marian Zareba.



Proboszcz wolski poświęca nowe zastępy uczniowskie.



Dyrektor Irena Kata pasuje na ucznia Michała Steca.



Przewodniczący Rady Gminy Daniel Fila wręcza pamiątkowe albumy.



Pamiątkowe zdjęcie po uroczystości pasowania. Stoją od lewej: ks. Łukasz Baran, mgr Czesława Raczek, Daniel Fila, ks. Marian Zareba, ks. Eugeniusz Worsa (z tyłu), uczniowie: Norbert Wyka, Dominik Soja, Michał Stec, Maciej Gielar, Jakub Ozga, Jakub Panek, Karol Kasica, Paweł Kobylarz, Krzysztof Chudzik, dyrektor mgr Irena Kata, wicedyrektor mgr Edyta Olszowy, uczennice: Kinga Gil, Agnieszka Marut, Anna Krawiec, Weronika Sasiela, Natalia Płaza, Justyna Chudzik, Dominika Konefał, Magdalena Sasiela.



Drużyna seniorów Klubu Sportowego „Raniżovia” w rundzie jesiennej 2010 r.

Stoją od lewej: Jan Rochecki – trener, Maciej Hajkowicz, Jacek Tyburczy, Marek Domoń, Adrian Żabiński, Piotr Wesołowski, Jakub Miazga, Paweł Rzeszutek, Mieczysław Burek – prezes klubu, Marian Pomykała - wiceprezes, Piotr Stachyra. Dolny rząd od lewej: Jakub Jaskot, Tomasz Janowski, Mariusz Matejko, Paweł Omiotek, Grzegorz Rosół, Marcin Boronowicz, Robert Stępień (oraz nieobecni na zdjęciu: Andrzej Warzocha - obrońca, Tomasz Sudół - bramkarz, Łukasz Sondej - pomocnik).

fot. Przemysław Marut



Uczestnicy Wakacyjnego Turnieju piłki Nożnej o Puchar Przewodniczącego Rady Gminy Raniżów, który odbył się w dniu 8 sierpnia 2010 r. na raniżowskim „Orliku”.